ARKONA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY KULTURZE I SZTUCE

NR 9-10 BYDGOSZCZ — LIPIEC-SIERPIEŃ ROK 1946

Alfred Kowalkowski

PIEŚNI NIEDOSŁYSZANE

Ostatnio wprawdzie poeci nasi coraz częściej zwracają oczy ku morzu, lecz mimo najlepszych chęci nie wynika z tego nic innego, jak właśnie typowe spojrzenie człowieka obcego na nieznany sobie świat baśni i przyszłości. Prawdę zaś powiedziawszy, jest to nawet jeszcze dużo, bo np. głucho zupełnie o Pomorzu i Ziemiach Odzyskanych i o ich dotąd mało znanym krajobrazie, który — zdawałoby się — powinien przecież obecnie dostarczać świeżych podniet naszym lirykom. I nie chcę tu już poruszać spraw odnoszących się do nowego życia i nowych zagadnień, ożywiających człowieka nad morzem, na Bałtyku i na wielkim Pomorzu czy na Mazurach, kiedy nawet żegluga śródlądowa jest w Polsce stale jeszcze w pogardzie. Kwestia poetyckiego podboju odzyskanych ziem śląskich przedstawia się — jak można wnioskować z dotychczasowych wyników — nieco lepiej. Ale i tam — tak jak tutaj milczą co znaczniejsi przedstawiciele Parnasu, zły dając przykład młodym, wśród których mało jest zresztą rewelacyjnych talentów.

I ciągle jeszcze przeważa u nas specyficzny szablon, pustka albo retoryka w licznych wypowiedziach o przeżyciu morza i żeglugi, więcej — jak już kiedyś wspomniałem — mająca charakteru plażowego, niż morskiego. W kontekście każdy taki stereotypowy obraz wydaje się jeszcze posiadać jakieś niewielkie choćby walory poetyckie, lecz wyrwijmy na chybił trafił frazesy w rodzaju: „wdech, wydech ożywczy z płuc“ lub „bracie, pierś się pręży, z oczu wiara patrzy: to cud wiatru od morza...“ a nagle stwierdzimy, że już nawet nie nuda od nich wieje, lecz śmieszność. Prawie tak samo, jak gdybyśmy wrócili do zabójczych dzisiaj schematów młodopolskich, że tylko przypomnę fragment z „Morza“ Jana Stena, skąd inąd wcale znośnego poety:

„...W przejasną dal,
Gdzie niema nic, prócz miękkich fal,
Fal cichych, sennych fal,
Płynie mój duch,
Jak lotny puch,
Po srebrnej wód głębinie“.

Człowiek w tej poezji jest rzeczywiście tylko puchem, wyrwanym z życia i świata. Jeśli abstrahować już od kwestii o znaczeniu społecznym, mogących się odzwierciadlać w poezji morskiej lub w tematyce Ziem Odzyskanych, pozostaje przecież otwarta dla poetów droga do poszukiwania tu treści o epickiej niekiedy doniosłości, jak wielka wędrówka milionów ludzi na zachód, jak historia naszego morza i historia wielkiego Pomorza wraz z jego legendami i wymowniejszymi od legend dziejami walk o polskość tej ziemi. Gdzie zaś są treści o tej hierarchii dla naszej nowoczesnej poezji, co egzotyka morska lub choćby tempo pracy portowej? A to przecież tylko jeden z odcinków naszych zaniedbań literackich.

Literatura i poezja powinna ponad to stworzyć typ nowego człowieka — zarówno bohaterski jak i codzienny charakter mieszkańca wybrzeża i marynarza. Nie tyle nawet stworzyć, ile wreszcie odnaleźć, bo chyba przy bystrej obserwacji spotka się już tu i ówdzie ludzi o psychice wybitnie morskiej czy zachodniej, a może nawet w typowo polskim wydaniu. Nie przyszliśmy przecież wszyscy bez wyjątku dopiero dziś nad Bałtyk, mieliśmy dobrych żeglarzy w dawniejszych wiekach, a wcześniej jeszcze wspaniałe przykłady potęgi morskiej Ranów i mieszkańców Arkony.

Nas jednak w ostatnich dziesiątkach lat łudziły stale fascynujące, lecz z gruntu fałszywe wizje „Wiatru od morza“ Żeromskiego, który więcej krzywdy wyrządził naszej myśli morskiej, niż przyniósł jej pożytku, bo poza ważną zasługą zwrócenia uwagi na Wybrzeże i Bałtyk, skierował nas na tropy Smętka a nie na drogę racjonalnego rozwoju. Żeromski element słowiański spycha

Z „TEKI POMORSKIEJ“



LUDOMIŁA LANŻANKA
MOTYW BYDGOSKI AKWATINTA

Z WYSTAWY OKR. POZNAŃSKIEGO Z. P. A. P. W POMORSKIM DOMU SZTUKI



WACŁAW TARANCZEWSKI GIPSORYT

systematycznie do obrony i nie wyzwala go od losu lądowego do zdobywczej roli żeglarza. Od ukazania się jego powieści ten schemat myślowy pokutuje stale nie tylko w naszej literaturze, ale i w społeczeństwie.

W obecnej chwili potrzeba nam nie sentymentalnych wzdychań lirycznych, lub też tromtadrackich napreżeń piersi, pokrywających pustkę i niemoc wewnętrzna, lecz charakterów przy całej swej lotności i dynamice pozostających w karbach racjonalnej myśli. Krajobraz nie powinien przerastać człowieka, lecz musi się zmieścić w rytmie jego pracy lub w napięciu woli. To samo odnosi się do widnokręgów morskich i do krajobrazu miast i ziemi zachodniej. Piękno mierzy się tu miarą ludzką i zawsze musi ono nagiąć się do wymagań sztuki i wiedzy.

Rozmach życiowy i jednocześnie świadomy ład tak w psychice człowieka, jak i w widzeniu świata — oto czego poszukujemy w literaturze morskiej i zachodniej. Ilekroć formułuję te i podobne myśli, zawsze przychodzi mi na myśl wszechstronna antologia niemal wszystkich najwybitniejszych naszych wierszy morskich, od czasów Bolesława Krzywoustego do końca pierwszego dziesięciolecia międzywojennego. Nie wiem, w ilu rękach znalazła się ta książka wydana przez Władysława Pniewskiego nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku (r. 1931) — książka pociągająca i treścią i szatą zewnętrzną. Pewne jest to, że przeszła ona bez echa, nie wywarłszy żadnego niemal wpływu na naszą literaturę, że co gorsza, nie wyciągnięto poważniejszych konsekwencji z tak obfitego materiału porównawczego w naszej krytyce i publicystyce.

Prawda, że chociaż wybrano tu utwory co najlepsze, przecież wiele jeszcze zamieszczono wierszy nawet formalnie słabych, toteż fakt, iż nie spotykamy tu ani jednego poematu awangardowego, ma swoją wymowę. Ale nic w tym dziwnego, jeśli skonstatujemy, że jedyny wiersz Przybosia, który moglibyśmy uznać za reminiscencję Bałtyku, mianowicie — „Z morza na horyzont“ zawiera stałe skojarzenia lądowe i nawet górskie, a przy tym znajdujemy w nim takie przyznanie się, poety do nieoczekiwaności i obcości tematyki:

„Tu wszystko oczekuje pierwszego [człowieka,
ludzie — nie odróżniam jeszcze ich twarzy [od głazów,
oto wiatr pierworodny mnie dotknął...“

Przypominam sobie również pewien wiersz Czechowicza, w którym poeta jak gdyby urzeczony szablonem naszej morskiej literatury wyrzeka się nawet awangardowej formy.

Tak więc konstatujemy kapitulację najtęższych piór wobec problematu morskości. Poza Gdynię nie wybiega również spojrzenie Tuwima. W samej zaś antologii mamy m. in. wiersz Wierzyńskiego, będący raczej panoramą morską, niż przeżytym opisem morza, o kapitalnej zresztą retoryce, spod której jednak dobywa się sztuczność spowodowana powierzchowną tylko znajomością spraw morskich. Gdy zaś wrócimy do poetów starszych, choćby do Kasprowicza lub Małaczewskiego, reprezentowanych również u Pniewskiego, stwierdzimy jeszcze większe ubóstwo treści. Kasprowicz w „Pieśni Bałtii“ umiał się zdobyć jedynie na wiersz szafujący najbardziej ogranymi ogólnikami o „najcudniejszym z mórz“, o „źródłach wspaniałej potęgi“, przy czym nie przemógł nawet konwenansu rymów „fal-dal“. Lepsza o niebo jest Małaczewskiego „pieśń kobiety do morza“ ale i tu prócz udanych może szczegółów np. żywiołowego, choć niezbyt oryginalnego obrazu wiatru, pełno „pieszczoty spienionych fal“ itp. rekwizytów poetyckich.

Załamanie się wybitnych indywidualności pisarskich wobec obcej im tematyki zniechęciło może naszych pisarzy do tak zdradliwego problemu. Z drugiej strony nie doceniono zupełnie poezji kaszubskiej, tak jak i dziś pobłażliwie odnosimy się jeszcze do wszelkiej literatury ludowej, chłopskiej czy regionalnej, na którą dopiero obecnie zaczyna padać jaśniejsze światło krytyki, wydobywającej spod rzekomej formalnej nawet nieudolności istotne wartości treściowe. Nie wiele wprawdzie zebrano w antologii Pniewskiego kaszubskiej poezji typowo morskiej, ale jak żadna inna świetnie oddaje ona krajobraz pomorski i nadmorski w całym jego rozkwicie i w potędze pogody i burzy, mimo pozornej nędzy i przygnębienia. Jednak i samo morze udaje się tu poetom opisać z prostotą i naturalnością odpowiadającą charakterowi człowieka:

„Jo wcygnął czołno na muerze,
A wiater letkue wioł;
To jazda! Wueda sę puerze
A jo spiewoł a smioł“.
(Heyke. Muerska burza).

Stąd wprawdzie długa jeszcze droga do zadowalającego opanowania żywiołu morskiego przez artystów, ale w oparciu o osiągnięcia Majkowskiego rozwój ten następuje i nie gdzie indziej jak właśnie w podanym przez Andrzeja Bukowskiego utworze Jana Trepczyka krok ten został chyba po raz pierwszy dokonany, krok tym ważniejszy, że polegający na całkowitym oderwaniu się od reminiscencyj lądowych:

Pjorene jidą z morzę do tuńca
Bo tako mórz je i pjorenów zvecz,
A cheja veje, veje bez kuńca —
Na morzu rebok — żegno swą checz.
(Chaja)

Nie dostrzeżono bogactwa motywów kryjących się w ubogiej pod względem techniki poetyckiej literaturze kaszubskiej. Poezja ta sięgająca swą tematyką z chłopskim, prostolinijnym uporem od ziemi Słowińców po granice mazurskie nie znalazła oddźwięku, tak jak bez echa niemal w Polsce minęła działalność Cenowy, który „chodził, rady szukał między Słowianami“. Nieliczni tylko pisarze podejmowali motywy i legendy pomorskie, interesujące już Kochanowskiego, później zaś bogato rozbudowane u Borzymowskiego. Mało było takich zapaleńców jak Felicjan Faleński, jak później Rajmund Bergiel, którzy usiłowali wniknąć w dzieje, w psychikę i w pejzaż pomorski, bez względu na wielkość artyzmu, lecz z pasją i rzetelnością poetycką budzącą mimo wszystko podziw.

Otwierały się przed pisarzami niewykorzystane perspektywy historyczne Arkony i Winety, tragiczne i charakterystycznie słowiańskie dzieje naszej średniowiecznej potęgi morskiej, tradycje pogańskie wprawdzie, lecz dowodzące bujnej żywotności plemion pomorskich obdarzonych przez naturę wszystkimi pokrewnymi nam zaletami i wadami. Sprawy, które rozpalały nawet wyobraźnię pisarzy rosyjskich, czego dowodem drukowany w Arkonie nr 6/7 przekład poematów rugiańskich Aleksego Tołstoja, w Polsce wzbudziły odzew nielicznych, nieledwie bezimiennych pisarzy. Antologia Pniewskiego jest tu więc jeszcze jednym dokumentem niewyzyskanych przez naszą literaturę możliwości, dokumentem trwonienia dóbr kulturalnych, i własnowolnego zaniedbywania przeszłości, niemal przekreślania jej najpiękniejszych kart.

Śladem Żeromskiego zwracano wprawdzie oczy ku morskiej przyszłości w oparciu o nowoczesność portową Gdyni, ale i tu widziano raczej zdobycze techniczne, bez oparcia ich o człowieka, o nową psychikę morską. Jeszcze gorszy był fakt opanowywania tematyki bałtyckiej przez wycieczkowiczów i dyletantów patrzących na rzeczywistość poprzez opary sentymentu. Antologia wykazuje niejednokrotnie ślady buntu przeciwko takiemu jednostronnemu lub fałszywemu traktowaniu żywotnej problematyki narodowej. Mało znany poeta Wład. Buchner pisze:

„Nam nie potrzeba kąpielisk modnych
Ani przybrzeżnych ruin, ni baszt.
Nimf wielkomiejskich — rusałek wodnych,
Nam jest potrzebny żagiel i maszt.
Nam nie potrzeba hulaszczej blagi,
Wrzawy i tonów u morskich wód,
Nam są potrzebne: dźwigi i dragi,
Bezkresne znoje, bezkresny trud“.

Rzadko jednak przybywali tu pisarze, którzyby chcieli nagiąć się do tych bezkompromisowych haseł, a jednocześnie potrafili trud życia morskiego oddać z poczuciem prawdziwego artyzmu. Niewielu tylko chciało się poddać wielkości żywiołu, trudnemu nakazowi walki z nim i z nieodpartym przekleństwem morza, które tak dobitnie występuje w poezji A. M. Swinarskiego, jedynego naszego marynisty przeczuwającego wszystkie konsekwencje wynikające z przyjęcia na siebie losu żeglarza. Nikt nie odważył się na gorzkie zmaganie się z samotnością, którą trzeba przebyć jak Conrad, zanim się nie opanuje wszystkich tajemnic wielkiej żeglugi. Swinarski sam jeden walczy już z tą psychozą początkujących żeglarzy:

„Kiedy po wantach na saling, z salingu na gwiazdy się wspinasz,
Wówczas do oczu ci ścieka niebios ultramaryna.
Jak w czarach, przywieź tych świętych płomieni w otwartych powiekach
Dla samotnego spojrzenia, które na błękit czeka“.

Dotychczas czekamy jeszcze, czeka przede wszystkim literatura — na przezwyciężenie uczucia samotności i pustki. Oczyma zaledwie ogarniamy skraj spiętrzonego morskiego błękitu. Pieśni o morzu i Pomorzu pozostają jeszcze niedosłyszane. Niewiele więcej niż pełny rok nieskrępowanego posiadania i odbudowywania portów oraz ponownego uczenia się morza — to oczywiście okres zbyt krótki i mimo wysiłków nie mógł on wydać jeszcze rezultatów. Rozporządzamy jednak nowymi doświadczeniami, wielu rzeczy nauczyła nas wojna, praca mieszkańców wybrzeża spotyka się z poparciem szerokiego zaplecza pomorskiego, cały kraj jest zainteresowany w akcji przebudowy naszego charakteru narodowego, a literatura, publicystyka powinna pójść w parze z planowaniem gospodarczym. Nie przekleństwo, lecz błogosławieństwo morza musi się stać naszym udziałem.

Alfred Kowalkowski

ŚP. ZYGMUNT FELCZAK

EPITAFIUM

Ubył nam Człowiek Czynu...

Bojownik zaprawiony w walce o Nową Polskę i pisarz poczynający sięgać dogłębnie w zjawiska społeczno-kulturalne. Spokojny i zrównoważony, jak przystało na statystę, wrażliwy i chłonny jak myśliciel. Harmonijne związanie owych pierwiastków psychiki dojrzewało w śp. Felczaku jako istotny wyraz Jego osobowości, której oddziaływanie posiadało już niewątpliwie siłę sugestywną, czerpiąca soki z rzeczywistych przeżyć i doznań oraz z wnikliwego spojrzenia w różne aspekty historycznej i dzisiejszej rzeczywistości.

Jasne i czyste spojrzenie było fizycznym i duchowym wyrazem Jego oblicza. Takim spojrzeniem obejmował On sprawy, ludzi i rzeczy, wszystko co wiodło ku odnowie zbiorowej duszy Narodu.

„W kulturze duchowej pragniemy — pisał Z. Felczak w swej „Drodze Wielkiej Odnowy" — rozwoju sztuki, literatury, nauki, wytwarzających coraz wyższy typ człowieka. To znaczy chcielibyśmy, aby rozwój duchowy polegał na wykuwaniu wzorca osobowego człowieka zdolnego do pełniejszego i bardziej harmonijnego doznawania życia. Do wyższego stanu napięć uczuciowych w przeżywaniu tajemnicy istnienia i jednolicie zwartej woli ekspansywnego oddziaływania na tok narastania życia".

Słowa powyższe są bodaj najbardziej osobistą wypowiedzią autora cytowanej książki, będąc zarazem kluczem do wielu zagadnień poruszonych na jej kartach, które dziś stały się wielostronicowym testamentem. Komentarzem do tegoż byłaby z pewnością dalsza działalność Z. Felczaka, który dotychczasowym życiem dokumentował tę prawdę, że „świat wewnętrzny człowieka ulega zmianom i nadaje się do kształtowania, podobnie jak świat materialny". Na tym podłożu filozoficznym budował też pojęcie o statycznym i dynamicznym szczęściu. To ostatnie widział „w stałym napięciu, w twórczym wysiłku, w dążeniu do osiągnięcia owocnych wysiłków, pełni życia, choćby kosztem najwyższego natężenia wszystkich władz osobowości. Właśnie wysiłek wytężonej pracy, namiętne dążenie do wytkniętego celu, doznanie pełni życia, uważane jest za źródło głębokiej radości. Potwierdza się tu wszystko, co te dążenia warunkuje: niezmordowany wysiłek, uporczywą pracę, niezłomne trwanie na obranej linii postępowania, a nawet wymagające ofiary bohaterstwo".

Wierząc w tego rodzaju prawo do szczęścia jednostkowego wierzył zarazem, że punktem wyjścia odnowy demokratycznej Polski musi się stać m. in. „przeobrażenie duchowe", że nowy typ Polaka — to człowiek znajdujący rozkosz w męce wytężenia, człowiek wyłamujący się spod marazmu, zrzucający skorupę indywidualizmu wegetacyjnego i przezwyciężający statyczną wizję szczęścia. Oto jego własny wizerunek. Takim był w trudzie swego krótkiego żywota, gdy spod strzechy wytężoną pracą zdobywał horyzonty nauki i wiedzy, gdy walczył o prawdę słowa i myśli, gdy w ofiarnym bohaterstwie stawał w podziemnej walce i na barykadach Warszawy, gdy stamtąd wrócił na ukochaną ziemię, dla której znów, w odpowiedzialnym trudzie, oddawał cały zasób sił, w końcu swe życie. Ubył nam Człowiek Czynu... A z Nim straciliśmy całym sercem oddanego sprawom kultury i sztuki miłośnika i patrona.

„Sztuka w służbie narodu — pisał na tym miejscu przed niedawnym czasem — to jedno z centralnych zagadnień Polski, które jednocześnie jest naszym czołowym założeniem ideowym, naszą racją istnienia".

Słowa te wypowiedział z najgłębszym przekonaniem jako organizator pracy na wielu odcinkach życia społecznego wierząc, że rola sztuki w nowym ustroju Polski stawszy się konstruktywnym czynnikiem musi wywołać „przyrost mocy sprawczej i wolę czynu". W powstaniu „Pomorskiego Domu Sztuki" widział realizację najbardziej palących i podstawowych potrzeb kulturalno-artystycznych Pomorza; samą instytucję, jako siedzibę wszystkich związków artystycznych, uważał za żywy organizm, za „kuźnię" i warsztat pracy artystów, mających najszerszym warstwom społeczeństwa zapewnić uczestnictwo w życiu kulturalnym. W atmosferze najściślejszej współpracy rósł i rozrastał się program działalności „Klubu Literacko-Artystycznego", kształtowało się oblicze „Arkony" jako miesięcznika poświęconego zagadnieniom kultury i sztuki, wytwarzał się klimat środowiska, które w rozumieniu i przewidywaniach śp. Zygmunta Felczaka miało promieniować daleko poza obszar województwa, a więc na t. zw. „Wielkie Pomorze".

Dystans jaki nas dzieli od żywych myśli-idei Człowieka, z którym współpraca i obcowanie pobudzało do twórczych wysiłków, jest zbyt mały dla właściwej oceny Jego ideologii i inspiracji. Wierzymy, że w perspektywie czasu nastąpi konkretyzacja wielu Jego zamierzeń, które staną się wraz z dokonanymi trwałym pomnikiem Człowieka Czynu o najczulszym sercu.

Jerzy Remer

Tadeusz Nowakowski

PO WOJNIE

Nad ziemią podrapaną
palcami konających
zawisł przejrzysty ranek
z niezadymionym słońcem.

Już się zabliźnia błękit
po świście samolotów,
anioł dotykiem ręki
wygasza ból warkotu
i białym leczy piórem
czołgami zryte role
i przechowaną w chmurach
syren lotniczych boleść,
a srebrne spadochrony
meduzy wysokości
na dnie błękitu toną
wśród wyoranych kości.

Boże nasz powojenny,
na okopy sypiący
zamieć kwiatów wiosennych
owiniętych w blask słońca,
niech się z radości krzykiem
bawią w armatnich lejach
dzieci, w których języku
wojna to nie — nadzieja...

NAD SARKOFAGIEM MIASTA

Na dnie wykopalisk
wiślanej Pompei
słońce kurzem pali,
i wiatr kurzem wieje.

W strzaskanym księżycu
jeszcze tli inferno —
tam była ulica,
a tu rów pancerny,
gdzie Bogu świątynię
wznieśli ci, co zmarli,
a inni ich imię
butami zatarli.

Kto przeżył, też umarł
zabity pamięcią
śmierci tłumów w tłumach
w bluźnierczych zaklęciach.

Słońce — kule — twarze
legły na dnie rzeki
głębszej od wydarzeń,
mądrzejszej niż wieki.
A gdy o sarkofag
miasta po stuleciach
oprą swoje głowy
zamyślone dzieci,
nie zemstę im przekaż,
lecz starą nowinę,
że Bóg tworzy rzeki,
a człowiek ruiny.



STANISŁAW ŁUCZAK

TARGOWISKO W INOWROCŁAWIU

DRZEWORYT

Aleksander Dzienisiuk

W OBRONIE PRAWDZIWEGO CZŁOWIEKA

I

Ilekroć zastanawiam się nad twórczością Gorkiego zawsze przychodzi mi na myśl nasz Żeromski, nie dlatego, że obu współczesnych sobie pisarzy*) cechuje identyczna postawa wobec rzeczywistości, przeciwnie, między nimi zachodzi zasadnicza różnica nie tylko w światopoglądzie, lecz także w sposobach literackiej ekspresji, ale ponieważ obu ich łączy i zbliża głośny i przejmujący ton społeczny, charakterystyczny dla dwóch odmiennych środowisk.

Szczere zainteresowanie się nierównym ludzkim losem oraz odczucie krzywdy, wyrządzanej człowiekowi przez człowieka dominuje w twórczości jednego i drugiego pisarza. Jednakże obrona **prawdziwego** — historycznie i społecznie określonego człowieka, — a więc postulat nowego humanizmu znajduje w twórczości Gorkiego nie tylko swój pełniejszy wyraz ale i głębsze socjologiczne uzasadnienie.

Maksym Gorkij (Aleksy Pieszkow) należał bowiem do rzędu tych pisarzy, dla których głównym natchnieniem twórczym i bodźcem oraz nieprzerwanym źródłem tematów i problemów stało się ich **własne** życie, biedne i szare, przytłaczające bezwładnym swym ciężarem od najmłodszych lat dzieciństwa. Gorkij, urodzony w Nowogrodzie nad Oką i Wołgą, sam wyszedł z nizin społecznych, z głębin ludu i po stracie rodziców wychowany w domu zabobonnego sknery dziadka oraz kłócących się między sobą chciwych stryjów oczyma dziecka patrzył z odrazą na ujemne strony drobnomieszczańskiego życia, pogrążonego w brudzie i nędzy, graniczących z występkiem i degeneracją moralną.

Mały Gorkij bacznie obserwował otaczające go życie i chłonną swą pamięcią ogarniał i gromadził wszystko, co mu ono przyniosło. „Gdy wspominam swoje dzieciństwo — pisze w powieści autobiograficznej — wydaje mi się jak gdybym był ulem, do którego różni prości ludzie znosili miód swej wiedzy i myśli o życiu, wzbogacając szczodrze moją duszę, każdy czym mógł. Częstokroć miód ten bywał brudny i gorzki, jednakże każda wiedza w gruncie rzeczy jest miodem".

Twarde życie zmusiło przyszłego pisarza przejść rozmaite koleje losu, być subiektem, pomywaczem na statku, tragarzem i piekarzem, obcować z różnego typu wykolejeńcami, zstępować „na dno" nędzy i upośledzenia, zetknąć się z nią bezpośrednio, odczuć i przeżyć niezmierną gorycz poniżenia i degradacji społecznej. Ze szczerym wzruszeniem czytamy słowa Gorkiego, wspominające ciężkie warunki bytu, w jakich musiał on zdobywać wiedzę i niezbędne środki do życia. „Pracując od 6-tej wieczorem prawie do południa — pisze autor „Moich uniwersytetów"—w dzień spałem i mogłem czytać tylko podczas roboty, zamiesiwszy ciasto, czekając, kiedy zakiśnie drugie i włożywszy chleb do pieca". „Gdyby mi wówczas zaproponowano — zauważa dalej — idź, ucz się, ale za to co niedziela będziemy cię bili kijami na placu Nikołajewskim, napewno zgodziłbym się na ten warunek". Powyższe słowa może najwymowniej tłumaczą, dlaczego w twórczości Gorkiego spotykamy tak silne akcenty, podkreślające znaczenie oświaty, szkoły i nauki. I naprawdę podziwiać należy siłę i żywotność moralną oraz potęgę intelektualnego głodu, który wiódł przyszłego autora „Dzieciństwa" drogą samokształcenia ku światłu i wiedzy i nie pozwolił zmarnieć i zgubić się talentowi na grząskich rozdrożach zdradliwego życia. Talent, rozwijany ustawiczną pracą i podsycany szlachetną ambicją pomimo najróżnorodniejszych przeciwności i przeszkód szybko wyrósł i dojrzał, zyskując rozgłos i sławę wśród przedstawicieli literatury zachodniej Europy. Uwięziony w r. 1905 w czasie wzmożonych represji kontrrewolucyjnych Gorkij z prawdziwą satysfakcją powitał rozkaz carski, uwalniający go z więzienia, rozkaz wydany pod naciskiem opinii zachodnio-europejskiego świata literackiego i naukowego.

II.

Do literatury rosyjskiej wszedł Maksym Gorkij w początkach lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia w chwili, gdy pomimo pozostałości gospodarki feudalnej wzmagał się w Rosji rozwój wielkiego przemysłu a jednocześnie z nim wzrastała liczba robotników. Był to okres wielkiego rozdźwięku i fermentu ideologicznego w łonie społeczeństwa rosyjskiego. Robotnik przemysłowy, wyróżniający się swym skupieniem w wielkich przedsiębiorstwach ‚swą wspólnotą celów i zgodnym frontem przeciwko straszliwemu w tych czasach wyzyskowi, chętnie skłaniał się ku rozmaitym doktrynom socjalnym a zwłaszcza ku marksizmowi. Natomiast rewolucyjnie nastawiona inteligencja rosyjska skupiała się przeważnie w szeregach t. zw. narodników, opierających się na chłopstwie i dążących częstokroć drogą terroru indywidualnego do rozwiązania zagadnień społecznych. W kłębowisku rozmaitych ‚sprzecznych teorii i poglądów, wśród których niekiedy — jak powiada Gorkij — starano się Nietzschego godzić z Marksem, przeciętny obywatel rosyjski ulegał zwątpieniu i wewnętrznemu załamaniu, znajdującemu swój wyraz w bezsilności i rezygnacji, apatii i pokorze. Tymczasem po tragicznej śmierci Aleksandra II nad społeczeństwem rosyjskim zawisła ciężka pięść żadnego odwetu cara Aleksandra III, stosującego metody wzmożonej represji.

Wyrazicielką ogólnych nastrojów, panujących w społeczeństwie, stała się również literatura. Już uprzednio Dostojewski z wrodzoną, rozpaczliwą pasją odtworzył w swej twórczości dramat człowieka i jego umęczonej duszy, szarpanej dręczącą bezsilnością w pętach nędzy i poniewierki. Autor „Zbrodni i kary" przedstawił wstrząsający obraz zmagań człowieka w walce o byt wśród krzywdy i ucisku, niszczenia sił i zgnębienia szlachetnych porywów i w obliczu odrażającego świata szukał ratunku w systemie moralno-filozoficznym, nakazującym człowiekowi poddanie się cierpieniu i pokorne dźwiganie swojego krzyża. Podobnie Tolstoj pomimo zasadniczej tendencji postępowej, zmierzającej do obrony praw wydziedziczonego chłopa, głosił w istocie zasadę nieprzeciwstawiania się złu i marzył o solidaryźmie szlachecko-włościańskim. Nawet twórczość Czechowa, zaprawiona dawką rzetelnego humoru i domagająca się niekiedy aktywnej postawy człowieka wobec niesprawiedliwości, jednakże nie zawsze uwalniała się od wątpliwości i wahań i od niewiary w możliwość i celowość walki człowieka z bierną i niewolniczą uległością, wobec caratu.

I właśnie na gruncie tej niewiary i nieufności w człowieka, nękającej szerokie koła społeczeństwa rosyjskiego, wyrosła rozległa twórczość Gorkiego jako zdecydowane veto i śmiały wybuch przeciwko wszelkim objawom bierności i zwątpienia. Wezwaniu Dostojewskiego wyrażonemu w słowach: „Ukórz się dumny człowieku i skrusz swoją pychę"— przeciwstawił on hasło szeroko pojętego humanizmu, hasło nieugiętej wiary w człowieka, wyrażone w powiedzeniu: „Człowiek to brzmi **dumnie**". W tym głośnym proteście, zapowiadającym walkę z bierną postawą wobec życia objawił się zmysł socjalny młodego Gorkiego, który ulegał dalszej ewolucji w miarę rozwoju postępowych form życia oraz zwiększania się kadr świata pracy. Na progu swej twórczości zetknął się jeszcze Gorkij z krzepką tradycją romantyzmu i sympatią ruchu literackiego do pesymistycznych symbolistów zachodniej literatury. Smutna

*) Obaj pisarze poznali się ze sobą w czasie pobytu na Capri.

i beznadziejna rzeczywistość rosyjska oraz młodość pisarza zadecydowały o charakterze romantycznym wstępnego okresu jego twórczości. Nie jest to w literaturze wypadek odosobniony, że młodzieńczy talent pisarza natrafia na ścieżki epigonów romantyzmu, zanim zacznie kroczyć samodzielną drogą bezpośredniego i wiernego ujmowania życia i przeoblekania go w formy artystyczne. Ulubiony przez Gorkiego Balzak i Flaubert mogą służyć tutaj za przykład łączenia realizmu z pierwiastkami sui generis romantycznymi. Romantyzm Gorkiego nie poszedł wszakże niewolniczo śladami tradycji literackiej, tej, która przekazywała myśl, uciekającą od rzeczywistości w mglisty świat mistyki. Pomimo pewnych pierwiastków ponadzmysłowych w romantyzmie Gorkiego wyczuwa się bliskość rzeczywistości, słyszy się jej astmatyczny, starczy oddech i towarzyszący mu pęd młodzieńczy do nadania nowego tętna życiu. Pojawia się kult jednostek wybitnych, wyrastających wysoko ponad przeciętność oraz apoteoza indywidualnego heroizmu, będąca wyrazem zażartej walki z miernotą otoczenia. Bohater romantyczny Danko z przepięknej legendy „Staruchy Izergil“ jest najistotniejszym przedstawicielem tendencyi ideologicznych autora w tym okresie życia. Nieugaszone pragnienie wolności, niezachwiana wiara w siebie i miłość narodu, grzeznącego w marazmie i apatii, każą bohaterowi Gorkiego wydobyć z rozdartej piersi swe promienne serce i złożyć je na ołtarzu wolności swoich rodaków. Sam motyw wyzwolenia drogą heroizmu jednostki pozostaje również w związku z ideologią narodników, pod których wpływem początkowo pozostawał Gorkij, o czym zresztą opowiada w swoich „Uniwersytetach“, wspominając przyjaźń z pisarzem-narodnikiem Korolenko. Bohater Danko to ten sam dumny, lecz bezsilny człowiek Dostojewskiego, który wydarł się z więzów gnuśności i zwątpienia i rozrzucił wśród biernego tłumu gorące iskry żelaznej energii i mocy. Znaczenie więc młodego Gorkiego wyrosło nie na gruncie, przesiąkniętym płaczliwą emocją współczucia nad dolą poniżonych i wyzyskiwanych, lecz przy dźwiękach romantycznego hymnu na cześć dumnego i silnego człowieka, miłującego wolność i dążącego do obrony swej sponiewieranej godności.

III.

W miarę dojrzewania problemów społecznych w Rosji oraz narastania świadomości klasowej pracującego ludu zmysł realistyczny, przejawiający się tu i ówdzie w utworach Gorkiego, ostatecznie wziął górę nad romantykiem i nadał odmienny charakter jego twórczości, w której znikła patetyczna retoryka, schematyzm i zabarwienie egzotyczne w stylu Prospera Mérimée. Ich miejsce zajął realistyczny i syntetyczny opis oparty na dokumentach i faktach, iście balzakowskie podpatrywanie rzeczywistości. Jednocześnie schodził na dalszy plan motyw heroizmu indywidualnego, chociaż dawna, niespożyta wiara w potęgę człowieka pozostała ta sama i niezmienna. Jest natomiast rzeczą oczywistą, że przerost indywidualizmu pozostaje w ścisłym związku z woluntarystyczną postawą człowieka wobec życia, uzależniającą rzeczywistość od jednostkowej woli człowieka, zdolnego niezależnie kierować losem zbiorowości. Przyczynę wszelkich konfliktów między jednostką i zbiorowością widzi Gorkij w odosobnieniu się jednostki, w jej pogrążeniu się w sferę własnych, egocentrycznych dążeń i pragnień, nie mających nic wspólnego, a częstokroć nawet sprzecznych z interesami ogółu. Jest to rezultat rozwiniętej w człowieku do rozmiarów nałogu dyspozycji do posługiwania się kategoriami ciasnego odosobnienia narodowego, klasowego, familijnego i wreszcie jednostkowego. To zjawisko psychiczne posiada swe historyczno-społeczne uzasadnienie. Zwracamy na nie baczniejszą uwagę dlatego, że dziś właśnie zagadnienie wzajemnego stosunku jednostki i zbiorowości stało się jednym z czołowych problemów naszego społecznego życia. Tradycyjny bowiem indywidualizm nadal fermentuje i grymasi, tym intensywniej i ostrzej, im bardziej zagraża mu kryzys i zmierzch.

Odrzucając woluntaryzm Gorkij po męsku, ręką twardą i umiejętną, podjął problem konstrukcji współczesnego zbiorowego życia i szukał oparcia dla indywidualności w opanowaniu przez nią mocą rozumu wielokształtnej cywilizacji współczesnej. Gorkij dostrzegł aktywną i produktywną rolę jednostki w przeniknięciu obiektywnych praw rzeczywistości, które uwzględniać ona musi, jeżeli nie chce wejść z nimi w konflikt i narazić się na wegetacyjne bytowanie poza nurtem właściwego życia, prowadzące do egoistycznego pesymizmu lub do biernego sybarytyzmu. „Wolnym na prawdę jest ten, kto mocen jest wyrzec się pragnień swoich“ — powiada Gorkij. A więc tylko ta jednostka, która **w konieczności wyrzeczenia się egocentrycznych dążeń nie dostrzeże zamachu na własną osobowość, a w zespoleniu swych pragnień z pragnieniami ogółu, uwarunkowanymi historycznym procesem rozwoju, dojrzy swoją istotną indywidualną misję, ta tylko stanie się rzeczywiście wielką i twórczą.**

Stanowisko Gorkiego nie jest bynajmniej deterministyczne, nie prowadzi do biernego podporządkowania się przeznaczeniu, które w istocie neguje aktywną działalność człowieka. Zawsze bowiem w miarę historycznego rozwoju pozostaje swoboda woli, polegająca na możności postanowień i decyzyj w mniejszym lub większym stopniu zgodnych z prawami obiektywnej rzeczywistości. W sposób niezwykle wymowny i precyzyjny, a pod względem artystycznym niemal doskonały porusza Gorkij powyższe problemy w jednym z wcześniejszych swych opowiadań pt. „Przed obliczem życia“, w którym życie rzuca człowiekowi następujące pytanie:

— „Czego zatem chcesz ode mnie?

— Szczęścia! A do szczęścia potrzeba mi koniecznie, aby pogodziło dwie zasadnicze, a sprzeczne ze sobą postawy mej duszy: moje „chcę“ z twoim „musisz“.

— Chciej tego, co na rozkaz mój musisz — odparło surowo życie“.



ROMUALD BOGACZYK — NAD BRDĄ

LIST Z BYDGOSZCZY

Ulica, biegnąc, spadła z mostu do kanału — —
Prysła tafla zwierciadła i srebrzy się w szczątkach,,
prąd je porwał i niesie zielony z zapału,
tańczący na zakolach, szumiący w zakątkach.
I rośnie niewstrzymanym podniecany biegiem
i zieloną przemocą rwie brzeg i przeszkody — —
zbielały z przerażenia spichlerze nad brzegiem
i przysiadły z przestrachu nadrzeczne ogrody.
Aż zuchwalec na gwałty niebaczny i guzy
szalejąc — wpłynął w chytrze zastawione sidła.
Osaczyły go mosty, skuły zastawidła
i porwały za gardło twardą pięścią — — śluzy.
Zachłysnął się, zapienił i zsiniały w pętach
tak głową walił w groble, aż deszcz kropel trysnął,
aż się twardy chwyt śluzy śmiertelnie zacisnął — —
wtedy ścichł, w szmaragdowych zamknięty odmętach.
Ścichł i zmarniał w okowach. Dawnych sił ostatkiem
zwlókł się między uliczki, ogrody, podwórza,
by brać na zgięte barki tratwy, kutry, statki
i pokornie spichlerzy obmywać podnóża — —
Czemu śpichlerze nie są pałacami dożów
a berlinki nie wożą jak lekkie gondole
złotej pieśni kanałów otwartemu morzu!
otwartemu na wszystkie błękitne swawole! — — —
Wenecja... tak się tęskny zwie sen wyrobnika...
Sen rozwiał się z ostatnim słonecznym przebłyskiem.
Została prosta „Bydgoszcz“ — — — w chłód liter zamyka
dni swych zieleń, śluz twardym je wiążąc uściskiem.

Marian Turwid

IV.

Niebawem wydaje Gorkij już prawdziwe arcydzieła realistycznego kunsztu — „Tomasza Gordiejewa“ i „Troje“, w których nie tylko rozbrzmiewa głośne wezwanie do czynu i walki, lecz jasno wskazuje **przeciwko komu** i **za co** należy walczyć i **w kim** jest ta realna siła, która prowadzi walkę.. (Por. także „Wrogowie“ i „Matka“). Z całą bezwzględnością oświetla autor „Tomasza Gordiejewa“ socjalną otchłań zepsucia w miarę jak egoistyczna wielkoprzemysłowa gospodarka coraz cięższą stopę stawiała na ziemi rosyjskiej. Demaskuje nienasyconą chciwość wielkich przedsiębiorców, bezczelność pożądających władzy, degenerację i egoizm liberalnej rosyjskiej burżuazji i anemiczne bunty wewnątrz tej klasy, których wyrazicielem jest sam Tomasz Gordiejew.

Ostro piętnuje Gorkij obłudę domniemanych postępowców, strojących się ostentacyjnie w piórka radykalnej demokracji, a w głębi serc odnoszących się z lekceważeniem i pogardą do ludu. Odsłania filisterskie bytowanie t. zw. wyższej sfery, nienasyconej w swych ambicjach, — tępotę i ograniczoność carskich urzędników, kreśli smutne obrazy z życia dołów socjalnych, gdzie nędza idzie w parze ze zbrodnią i zwyrodnieniem.

Równocześnie niemal z utworami powieściowymi pisze Gorkij dramaty. Krytyka, która na ogół entuzjastycznie powitała pierwsze utwory powieściowe Gorkiego, stosunkowo, z pewną rezerwą odnosiła się do jego dramatów. To też wiele z nich poszło w zapomnienie. Niektóre jednak uzyskały zasłużony rozgłos nie tylko w Związku Radzieckim, ale również na scenie teatru na zachodzie. Sposród nich największy sukces odniósł dramat „Na dnie“ i „Mieszczanie“. „Mieszczanie“ (1902 r.) są przede wszystkim bezwzględnym protestem przeciwko tradycyjnej, absolutnej władzy ojca rodziny, a zwłaszcza przeciwko konwenansom narzucanej przez rodzinę miłości. Stary Bezsiemionow z uporem trzyma się przestarzałej koncepcji życia, z każdego jego słowa wyziera niezrozumienie dla praw młodego pokolenia, tak jak w każdym kącie jego domu ziewa nuda i apatia bezczynnego a przy tym kłótliwego życia. Patrząc na nie przychodzą na myśl słowa znanego wiersza Tuwima, noszącego tytuł „Mieszkańcy“:

...W strasznych mieszkaniach
Strasznie mieszkają straszni mieszczanie.
Pleśnią i kopciem pełznie po ścianach
Zgroza zimowa, ciemne konanie.
Od rana bełkot. Bełkocą, bredzą,
Że deszcz, że drogo, że to, że tamto.
Trochę pochodzą, trochę posiedzą
I wszystko widmo.

Ale dramat „Mieszczanie“ — to także ostra satyra, wymierzona w rozpolitykowaną i niezdolną do czynu młodzież. Piotr — syn Bezsiemionowa —jest charakterystycznym typem radykalizującego się mieszczańskiego inteligenta, poprzestającego na głoszeniu szumnych frazesów, na bezczynności i wygodnym kompromisie. Obserwując to wszystko cynik życiowy Tieterew, szukający pocieszenia w kieliszku, zauważa z przekąsem: „Życie źle uszyte — nie na miarę porządnych ludzi“.

Z ostatnich dramatów na uwagę zasługuje „Jegor Bułyczew“, osnuty na tle życia przedrewolucyjnego kupiectwa, w którym występuje znany gorkijowski typ nieugiętego i twardego przedsiębiorcy, sceptycznie usposobionego wobec wartości ludzkiej i bezwzględnie dążącego do zamierzonego celu.

Ogólną cechą dramatów Gorkiego jest ich silny pierwiastek intelektualny, naruszający niekiedy zwartość kompozycji i tak zwaną teatralność sztuki. Autor „Mieszczan“ operuje bardzo często obfitym dialogiem, o mocnym zabarwieniu filozoficznym i nabrzmiałym aforystycznymi zwrotami.

W miarę rozwoju talentu literackiego wzrastają również rozmiary koncepcji powieściowych Gorkiego, które coraz wyraźniej zdradzają tendencję do oddania charakteru całej epoki. Jedna z tego rodzaju powieści oprócz „Życia Klima Samgina“ jest „Dzieło Artamonowów“, powieść będąca nie tylko utworem sztuki, ale także dokumentem historycznym ,zawierającym rozległy i wszechstronny obraz skreślony z imponującym realizmem i ilustrujący moment przeobrażenia się Rosji z państwa rolniczego w państwo kapitalistyczne. Na przykładzie jednej rodziny autor ukazał proces deklasacji uwłaszczonej awangardy chłopskiej, wsiąkającej w szeregi bogacącego się na drodze przemysłu mieszczaństwa. Dzieje rodziny Artamonowów i ich fabryki tkackiej nad brzegiem Oki i Watarakszy to jednocześnie typowy dla ówczesnego społeczeństwa rosyjskiego obraz życia człowieka, jego rozmachu i energii na polu industrializacji, — powodzenia materialnego, wielkich zmagań i przykrego rozdźwięku między interesami jednostki i ogółu. Oto Piotr Artamonow, człowiek prosty, lecz uczciwy, równolegle z rozbudową i rozwojem przedsiębiorstwa sam nie zdawał sobie sprawy, jak powoli lecz systematycznie wspaniała jego fabryka, tętniąca coraz głośniejszym rytmem maszyn, których odgłos przeraźliwym zgrzytem wdzierał się do jego chłopskiej duszy, napawała go gorączką złota i zysku, jak stopniowo wysysała z jego wnętrza to, co zdrowe i nieskażone. Piotr Artamonow nie pojmował i nie mógł pojąć zasadniczej sprzeczności interesów między nim a ludźmi, pracującymi w jego tkalni, nie mógł zrozumieć tej olbrzymiej trudności w zachowaniu równowagi między potężnym instynktem człowieka bogacącego się a sprawiedliwym odczuciem doli podwładnego. Cieszył się natomiast, gdy widział, że rozrastało się „dzieło jego rąk“ i dlatego drażniły go niepomiernie przykre choć głębokie słowa starego stróża Tichona, który powtarzał z uporem: „Dzieło rośnie **własną** siłą jak **pleśń w piwnicy**“.

Istotnie, im gęstszy obłok opalowego dymu unosił się z nad półwyspu między Oką i Wataraksza i osiadał czarną sadzą goryczy w piersiach pracujących tkaczy, tym częściej słyszał Artamonow „poprzez hałas wrzecion i szum tkackich czółen suchy, głęboki kaszel i widział zmęczone, ponure twarze i ociężałe ruchy“ i coraz częściej ten i ów zaglądał do kantoru fabrycznego i zwalniał się z pracy.

Starał się łagodzić dolę swych robotników, zbudował dla nich i dla ich dzieci szpital, urządzał im zabawy i sute obiady, pił na weselach i chrzcił ich dzieci a mimo to czuł wyraźnie, że z dnia na dzień między nim a fabryką wznosi się coraz wyżej i wyżej mur obojętności, niechęci i źle tajonej nienawiści. A jednak Piotr Artamonow nie zdawał sobie sprawy, dlaczego tak się dzieje, dlaczego „wieczorami osada fabryczna brzęczała jak ul. Zdawać się mogło, że za chwilę zawyje wilczymi głosami i że nawet piasek złowrogo skrzypi pod nogami“.

Gorkij ukazał więc nie tylko widmo upadku grożące „panującemu światu“ ale również z niezwykłą wrażliwością i wierną wyobraźnią artysty przedstawił jak w ramach tego świata powstaje **nowa siła**, która rośnie z dnia na dzień, przeobrażając się w świadomy czynnik historycznych procesów. Artamonow wyczuwał, że zbliża się burza, wiedział, że coś pcha się gwałtownie w życie, ale sam czuł się jako odepchnięty, „bierny i nieświadomy widz“, który obserwuje tajemny i skomplikowany proces życia, nie mogąc odkryć ukrytych jego sprężyn. I ilekroć smutek i gorycz nawiedzały jego serce, wówczas zdawało mu się, że pomimo pomyślności materialnej własne jego dzieło zaczyna przytłaczać i dławić i wtedy cisnęło mu się na usta pytanie: „a w czemże ja tu zawiniłem?“

To bezradne niezdawanie sobie sprawy z własnej sytuacji, z własnej funkcji, ta bezwiedza wobec ekonomicznych i społecznych form życia stanowi charakterystyczny rys tragedii rodziny Artamonowów, reprezentujących psychikę środowisk kapitalistycznych.

Trzy podstawowe warstwy przedrewolucyjnej Rosji — wielkich posiadaczy, drobnomieszczaństwo i świat pracy — utrwalił autor „Dzieła Artamonowów“ w sposób tak gruntowny, ożywiony tylu różnorodnymi typami, że śmiało może stanąć obok największego tytana francuskiej powieści społecznej—Balzaka. O ile jednak Balzak dał obraz współczesnej Francji, ujęty w ramy raczej arystokratycznego światopoglądu i snobistycznych tęsknot mieszczaństwa, o tyle twórczość Gorkiego zawiera przekrój społeczeństwa rosyjskiego w odbiciu świadomości człowieka z ludu. To stanowisko pozwoliło pisarzowi w innym świetle przedstawić rzeczywistość, odsłonić właściwe źródło historycznych procesów i rozstrzygać w sposób odmienny i zgoła nieoczekiwany społeczne problemy Rosji, które od czasów Gogola i Dostojewskiego pojawiały się w rosyjskiej literaturze.

V.

Gorkij poruszał najbardziej pesymistyczne problemy bytu w Rosji przedrewolucyjnej. Cała olbrzymia galeria jego figur manifestuje ujemne strony człowieka. Było by jednak świadectwem najopaczniej pojętej tendencji zarzucić Gorkiemu przerażający pesymizm, jakim tchną powieści Dostojewskiego. Gorkij wprawdzie nie stara się zamaskować niedostatków człowieka, nie usprawiedliwia go zmorą nieszczęsnego fatalizmu, z jasną i stanowczą bezwzględnością ujawnia ohydę ludzkiego postępowania, lecz jednocześnie wskazuje źródło degeneracji człowieka, które leży **poza nim.** „Wszelka indywidualność jest rezultatem socjalnego ugrupowania — pisze Gorkij — źródłem jej psychicznej energii jest zawsze zbiorowość“. Autor „Życia Klima Samgina“ nie zna więc człowieka i jego psychiki pojętej abstrakcyjnie, nie zna zła człowieka, które wynika z przyrodzonej, biologicznej konieczności, lecz zawsze jest ono dla niego wytworem konkretnej rzeczywistości. Wystarczy zmienić tę rzeczywistość, a zmieni się i człowiek. Pomimo więc niesprawiedliwych warunków społecznego bytu, twórczość Gorkiego tchnie nadzieją i wiarą w lepszą przyszłość, budzi przekonanie, że, chociaż tak jest, to tak nie będzie i głosi



WIDOK NA PORT

stanowczą myśl o ostatecznym zwycięstwie człowieka nad twardym losem i nad samym sobą. „Jakkolwiek jest to wstrętne — pisał Gorkij o życiu przedrewolucyjnej Rosji — jakkolwiek w swym śmiertelnym uścisku życie to dusi niejednokrotnie mnóstwo najlepszych istnień, człowiek jest jednak jeszcze na tyle zdrów i młody duchem, że w walce tej zwycięża i kiedyś zwycięży ostatecznie".

Po roku 1917 Gorkij oprócz twórczości powieściowej uprawiał intensywnie płomienną publicystykę polityczno-społeczną i literacką, przestrzegał ludzkość przed niebezpieczeństwem faszyzmu, czuwał nad rozwojem radzieckiej literatury i stał się pośrednikiem wobec kultury i literatury zachodniej. Wespół z Romain Rollandem, który był osobistym jego gościem w domu pod Moskwą oraz Henri Barbusse'm wzywał świat kulturalny do stworzenia jednolitego frontu antyhitlerowskiego. André Gide przybył do Moskwy bezpośrednio po zgonie Gorkiego i wygłosił nad trumną zmarłego serdeczną mowę pożegnalną.

Rozstając się z myślą o Gorkim należy jeszcze raz podkreślić, że w literaturze powszechnej był on pierwszym wybitnym przedstawicielem nowego pod względem społecznym piśmiennictwa, zrodzonego w świadomości młodej klasy, dotychczas prawem kastowości i ograniczenia wiedzy usuniętej z życia intelektualnego i strąconej w otchłań ciemnoty. Sprawie obrony wolności tego człowieka, sprawie wydobycia go z tej otchłani i ukazania jego wartości i mocy poświęcił Gorkij swą twórczość, zgodnie z głębokim przekonaniem, zawartym w liście do Henryka Sienkiewicza, pisanym na Capri 30 stycznia 1908 r.: „Artysta to herold swego narodu, to zwiastun bojowej pobudki i jego pierwszy miecz, artysta zawsze i w sposób nienasycony pragnie wolności, bo w niej jest piękno i prawda".

W tym niestrudzonym wydobywaniu świeżej prawdy i piękna z człowieka wiele jeszcze pokoleń znajdzie w Gorkim swego wielkiego przewodnika i mistrza.

Aleksander Dzienisiuk

Jan Piechocki

ZACIEŚNIANIE WIĘZI

W Polsce przedwrześniowej wiedza o słowiańszczyźnie na zachód od ówczesnej granicy państwa była bardzo znikoma. Nic dziwnego, skoro **nawet na temat polskości Pomorza i Śląska** wiadomości przeciętnego obywatela województw centralnych i wschodnich były niejednokrotnie bałamutne, irytująco fałszywe. Niechętnie o tym wspominam, lecz tak było niestety ze szkodą dla interesów narodu.

Mógłbym na dowód tej ignorancji w sprawach etnograficznych i historycznych Pomorza przytoczyć wiele przykładów, zaczerpniętych z wspomnień osobistych. Dla ilustracji zacytuję rozmowę w pociągu, w przedziale II klasy, z elegancką, przygodnie poznaną Warszawianką w r. 1929 lub 1930. Wytworna, oczytana pani na wieść, że wraz z kolegą wysiadamy w Bydgoszczy, wyraziła swoje ubolewanie. — „Dlaczego nas Pani żałuje", pytamy zdziwieni. — „Bo na Pomorzu sami Niemcy, odparły wyszminkowane usteczka. Pięcież 90 procent „tych ludzi" — to Niemcy. Wogóle, jak oni mówią po polsku!" — „Proszę Pani, odpowiadamy zirytowani, jak Pani może podobne herezje wygłaszać! Sprawa ma się wręcz odwrotnie. Czyż Pani wiadomo, że obok spisów ludności już same wyniki wyborów wskazują na to, że na naszym Pomorzu mieszka najwyżej 10 procent Niemców, a reszta to Polacy?"

Nie wiem, czy zdołaliśmy przekonać naszą interlokutorkę o sprawie wówczas bezspornej, każdemu — zdawało by się — dziecku polskiemu wiadomej. Nie wiem także, ile godzin trzeba by było zużyć, aby tej damie, zorientowanej dokładnie w tylu kwestiach literatury i teatru, wytłumaczyć, że na Pomorzu szczecińskim jeszcze w XIX wieku w niektórych gminach protestanckich odbywały się kazania po polsku i były w użyciu polskie kancjonały, że język połabski wymarł w sercu Niemiec dopiero w wieku XVIII, że nazwy miast, rzek i jezior aż po Łabę wskazują na słowiańskie pochodzenie itd. Poza małym kręgiem osób były to dla ogółu sprawy kompletnie nieznane, zresztą równie nieciekawe, jak np. spokojna, rzeczowa ocena odrębności psychicznych, obyczajowych i językowych ówczesnego polskiego Pomorza.

Dopiero gdy groźba niemieckiej agresji stała się widoczna, zaczął straszny los naszych pobratymców z nad Odry interesować szerszy ogół. Poczytność zdobyły tuż przed wojną dwie książki, poświęcone cmentarzyskom słowiańszczyzny: Wańkowicza „Na tropach Smętka" i Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy". Dzisiejszego czytelnika uderza powściągliwość w wysnuwaniu wniosków przez obu autorów, co było zapewne podyktowane względami na politykę ówczesnego rządu, kierująca się zasadą „niedrażnienia" Niemców. Gdy jednak odwieczne ziemie słowiańskie stały się częścią składową Rzeczypospolitej ,gdy biało-czerwony sztandar powiewa w Szczecinie i Kołobrzegu, książki i rozprawy, poświęcone ziemiom odzyskanym, spełniają coś więcej niż rolę bezsilnego protestu i smętnej skargi. Dawniej były pożądane, dziś są koniecznością państwową, zważywszy, że przyszłość Polski w najwyższym stopniu zależy od utrzymania w naszym władaniu Pomorza Zachodniego, Ziemi Mazurskiej, Dolnego Śląska. Aby obywatel polski, często repatriant ze Wschodu, czuł się silnie zespolonym z terenami odzyskanymi, trzeba odpowiedniego stosunku emocjonalnego do tych ziem — ziem słowiańskich, w pełni zgermanizowanych dopiero w wieku 19-ym.

Nie potrzebujemy — wzorem hitlerowców — silić się na jakąś sztuczną propagandę. Wystarczy ujawnienie faktów historycznych. W miarę, jak pogłębiają się badania, przybywa argumentów, uzasadniających nasze prawo do władania nadodrzańskimi ziemiami, w których drzemią kości tysięcy Pomorzan, Kaszubów, Słowińców. Im lepiej poznamy dalszą i bliższą przeszłość tych ziem, tym silniejsza będzie nasza więź duchowa i uczuciowa z Szczecinem, Koszalinem, Kołobrzegiem. Istnienie tej więzi jest równie ważne jak nakazy racji stanu, a wszystko, co je umacnia, winniśmy przyjmować z entuzjazmem.

Myślę, że wyżej wymienionym postulatom doskonale odpowiada broszura **Stanisława Helsztyńskiego** *). Składa się na nią 13 zajmujących szkiców, osnutych wokoło dziejów Pomorza Zachodniego i jego związków z Polską.

Szkice Helsztyńskiego powstały tuż po klęsce niemieckiej, reportaż z pobojowisk łączy się w nich miejscami z wycieczką intelektualisty w krainę przeszłości (por. „Cranach, Szczecin i Piastowie", „Spotkanie w Pile", „Piła, zwalony bastion pogranicza"). Helsztyński, znany anglista, poeta i badacz regionalny, wydawca i komentator listów Przybyszewskiego, okazuje się świetnym erudytą na nowym dla niego terenie (por. szkic o Gallu Anonimie). Jednakowoż erudycja Helsztyńskiego nie przygniata, jest strawna nawet dla czytelnika mniej obytego z historią, kronikami i językoznawstwem. Autor umie, przy zachowaniu poważnego tonu naukowego, wywołać wizję opisywanych spraw i postaci (por. rozdział „Tragiczne dzieje Kazika ze Szczecina") i choć sam zajmuje postawę raczej historyka niż literata, sugeruje niejednokrotnie tematyczną przydatność wielu wątków beletryście lub dramaturgowi. Przyjemnie działa spokojny, beznamiętny styl szkiców Helsztyńskiego. Nie ma w nich chwytów natarczywej, taniej, dziennikarskiej propagandy — i dlatego właśnie tomik „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego" jest najlepszą propagandą. Szkoda tylko, że tomik wydano bardzo mizernie, w szarej okładce, bez ilustracyj, o które rzecz ta wręcz się prosi. Korekta miejscami bardzo niedbała...

Zwracam uwagę na braki broszury Helsztyńskiego, bo jej szata zewnętrzna powinna by przyciągać w tym samym stopniu co treść. W danym wypadku jest to ważne nie tylko dla autora, lecz także dla Państwa, które jest zainteresowane w jak największej poczytności tego rodzaju publikacyj. Jako sceptyk w tej dziedzinie mam bowiem poważne wątpliwości, czy choćby tzw. inteligencja wie mimo tego wszystkiego, co się po gazetach pisze, o przeszłości Pomorza Zachodniego wiele więcej, niż owa elegancka dama wiedziała w r. 1929 czy 1930-ym o mieszkańcach Bydgoszczy, Torunia i Tczewa.

Brak nam jeszcze gruntownych, pomnikowych opracowań historii ziem odzyskanych. Nim się zbuduje gmach trzeba zebrać cegiełki. Taką cegiełką jest właśnie broszura Stanisława Helsztyńskiego.

*) Stanisław Helsztyński: „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego". Nakładem komitetu I-go obchodu „Trzymamy straż nad Odrą". Szczecin 1946.

Józef Modrzejewski

DZIEDZICTWO MIKOŁAJA BRONISZA

Są takie ustronia na Ziemiach Odzyskanych, gdzie możnaby zupełnie zapomnieć o nalocie niemczyzny, gdzie ulegamy pięknemu złudzeniu, że trafiliśmy do miejsca, które opuściliśmy dopiero przed chwilą. Tam bowiem odległa przeszłość splata się z bliską teraźniejszością, cisza odosobnienia pozwala słyszeć szept dziejów, a fluidy rozbrzmiałych wypadków działają odurzająco.

Taka atmosfera refleksyjności panuje w maleńkiej miejscowości Gościechowo na nadprożu ziemi Lubuskiej, a przysłowiową „skałą Tassa" jest klasztor pocysterski.

Pozwólmy wyobraźni towarzyszyć słowom przewodnika. Trudno bowiem segregować schematycznie fakty historyczne w miejscu które sugestionuje nas, jak gdyby było nie miejscem chrześcijańskiego przybytku lecz raczej chramu pogańskiego z czasów bajecznych. Gdybyśmy jednak przypuszczali, że tu utrzymywało się kult jakiegoś Światowida dłużej niż gdzieindziej w Polsce, skrzywdzilibyśmy w szczególny sposób dawnych mieszkańców.

Na progu Lubuszy padli pierwsi męczennicy polscy, a przykład zarówno ich życia jak i śmierci wstrząsnął i zastanowił psychikę słowiańskich władyków. Przybysze jak i bracia-krajanie ukazali pociągający obraz cywilizacji, potęgę dobrowolnych wyrzeczeń i poświęcenia. Stąd u zachodnich kresowców przechodziła z pokolenia na pokolenie chęć kontaktów z zakonami-pionierami cywilizacji. Stąd wreszcie Mikołaj Bronisz w 1234 roku występuje z inicjatywą ponownego osiedlenia zakonników.

Władyka lubuski postępuje tak, jak Chrobry przed dwu i pół wiekiem. Buduje drewniany przybytek klasztorny i wyznacza pięć wsi jako uposażenie dla grupy Cystersów.

W pobliżu eremu międzyrzeckiego powstaje więc znów ognisko cywilizacji. Lubuszanie nie spostrzegają jednak, że narodowość mnichów jest inna i wypływają z tego konsekwencje. Zrazu są tylko gościnnymi gospodarzami zapraszającymi przybyszów do swego wewnętrznego życia.

Cystersi niemieccy stawiają pierwsze kroki. Są to: przemianowanie nazwy miejscowości Gościechowo na Paradyż, zakup dalszych trzech wsi, starania o potwierdzenie nadania u papieża Inocentego IV, starania u księcia Bolesława Wielkopolskiego o zwolnienie od podatków i władzy sądowej starosty międzyrzeckiego.

Skolei zakładają siostrzany zakład klasztorny w Przemiencie, który zmieniają na Priment, i ogłaszają ekskluzywność zakonu (wyłącznie dla nie-polaków) z wyjątkiem przyjęcia od czasu do czasu bardziej zdolnych synów chłopskich.

W międzyczasie ginie Mikołaj Bronisz w bitwie pod Lignicą jako obrońca ojczyzny i wiary.

Niemieccy zakonnicy wygłaszają kazania w swoim języku i przystępują do wystawienia nowego klasztoru wraz z kościołem już teraz nie z drzewa ale z cegły. Uważają za naturalne zwracać się o pomoc finansową do polskich dostojników świeckich i kościelnych. U schyłku XIV wieku nowa budowla jest gotowa dzięki dotacjom biskupa Mikołaja Skarpateńskiego z Poznania które umożliwiły m. inn. wystawienie 13 bocznych ołtarzy. Tradycja przekazała nam wiadomość, że nowa świątynia była bazyliką bez wież, w której nawa główna miała cztery przęsła, a obie poboczne po osiem. Czy klasztor w Paradyżu będzie bastionem wdzierającej się niemczyzny?

Wychowywanie synów polskich chłopów nie idzie tak łatwo Cystersom jak sobie wyobrażali. Zmuszeni przez kancelarię królewską do wysyłania 20 kandydatów na akademię krakowską ponoszą wielką klęskę w osobie najwięcej ulubionego Jakóba. Ten syn sługi klasztornego zajmuje poważne stanowisko wśród uczonych polskich w stolicy, biorąc udział w dyspucie dla pogodzenia husytów z Kościołem, a tym samym Czechów i Polaków, dalej zdumiewa wymową jako kaznodzieja wszechnicy i delegat tejże witający poselstwo papieskie, wreszcie ma wielką zasługę w opracowaniu traktatu bazylejskiego i w głoszeniu zasad pierwotnej surowości chrześcijańskiej. Jakóba z Paradyża anektowała nauka niemiecka wychodząc widocznie z założenia że wychowanek niemieckiego zgromadzenia już chociaż z samej wdzięczności musiał być Niemcem! On sam natomiast podkreśla wszędzie swe proste i polskie początki życia.

Ostateczna klęska zakusów germanizacyjnych zapada prawie półtora wieku później, dokładnie w 1558 r. na skutek interwencji Zygmunta Augusta w sprawie złośliwego podtrzymywania niemieckiego charakteru zgromadzenia.

Odtąd opatami są sami Polacy i następuje rozkwit tej placówki na Kresach Zachodnich. Królowie polscy pilnie interesują się klasztorem pomimo ekspansji na wschód. Tak więc w r. 1633, gdy klasztor zostaje uszkodzony przez pożar Władysław IV odbudowuje go własnym sumptem.

W towarzystwie grupy samotnych drzew możemy dziś oglądać budynek, który przechował atmosferę bastionu granicznego polskiej kultury. Widzimy w nim bujność siedemnastowiekowego baroku, w którym tak bardzo kochała się fantazyjna dusza kresowców. Nie widać jednak śladów ciężkich przejść zakonu, o których musimy się dowiadywać od przewodnika. Cystersów już tu niema od 110 lat, ale w murach żyje jeszcze echo które nie zdążyło rozbrzmieć...

Dowiadujemy się, że największą świetność przeżywał Paradyż w ostatnim trzydziestoleciu wieku XVII, kiedy to opatem był Kazimierz Szczuka. Magnat i miłośnik sztuk pięknych dostarczył kościołowi wielkich sum na budowę ołtarza głównego, którego był projektodawcą. Hojnie też wyposaża zakrystię w sprzęty. Rozpoczyna budowę dwuch wyniosłych wież przed frontonem zachodnim. Klasztor za jego czasów jest jednym z największych gmachów w Polsce. W celach zawiesza się obrazy olejne specjalnie sprowadzone z Włoch, powiększa się ustawicznie księgozbiór ,by uczynić go jednym z najzamożniejszych w Polsce. Dach biblioteki pokryto miedzią dla ochrony przed pożarem.

Budynek klasztorny prezentuje się ciągle jeszcze okazale. Trzy niewysokie wieże podkreślają zalety budowli barokowej, a skrzydła mniejszego podwórza każą cofnąć się myślą jeszcze do średniowiecza. Zachowała się potężna brama z XVII wieku.

A oto galeria postaci, które zasłużyły sobie na wspomnienie: Opat Mikołaj Roszkowski był poprzednio sekretarzem królewskim i przysporzył bibliotece zakonnej szereg rzadkich dzieł polskich, opat Stefan Wierzbowski późniejszy biskup poznański oraz Stanisław Dobrowolski kontynuator tradycji średniowiecznych Jakóba z Paradyża i ilustrator kancjonałów.

Cystersi polscy utrzymali się tu do r. 1836, kiedy to rząd pruski wydalił ich z Paradyża by zniszczyć jedną z najsilniejszych placówek polskości. Oczywiście fundusze i biblioteka uległy konfiskacie. Otworzono w budynkach po-zakonnych seminarium nauczycielskie dla preparandystów prowincji poznańskiej.

I tak minął znowu pełen wiek. Kiedy błądzimy wśród opuszczonych zabudowań po-cysterskich podnieca nas jedna myśl.

Niema już Paradyża, jest tylko Gościechowo. Przypomina nam się Mikołaj Bronisz, jego wielkie plany cywilizacyjne i jego bohaterska śmierć. Musimy podjąć jego myśli, by wychować takich jak on obrońców Kresów Zachodnich.

Od Gościechowa zaczyna się szlak polskiej kultury, na Odrze się kończy. Ziemia Lubuska woła o wznowienie tradycji zgłuszonych sztucznie, a zespolonych ściśle z podłożem duchowym jej ludu.

Eugeniusz Morski

Z LISTÓW DO PANI J. P.

Niewidomych okien znaki
poomacku chłonie wzrok,
tylko lamp ogniste ptaki
przelatują, pędząc w mrok

W kołyszącym się przedziale
jak kotara — zwisa sen
nałęczami iskier dale
twoich włosów czeszą len.

Przeszłość, — przyszłość, wszystko jazda;
jutro przyjdzie, minie dziś.
Znów błysnęło jakieś miasto
jak zerwana w biegu myśl.

Widzę, widzę cię i czuję
jak przez palce płyniesz w świat
ty mi domu nie zbudujesz
na równinie moich lat.

Tyś jak pęd — w miganiu blasków
tobie samej siebie żal,
ty — uciekasz tak, jak miasta
w niewysłowną, nocną dal.
. . . .
. . . .

Wszystko pożegnam dziś bez żalu,
choć dni bieżących spokój pierzchł
w czerwone, czekające dale
zaprzęga czarne konie zmierzch.

Zatętni lat mijanych tętent,
zasłonią białe twarze dni;
nieunikniona, niedostępna
zostaniesz ze mną tylko ty.
Będę cię w ciernie życia wplatał
czy kształtem będziesz, czy też mgłą
bowiem bogowie tego świata
w przymierzu trwają z naszą krwią.

O ŚWICIE

Błyski z chmur, jak w witrażach-oknach
po równinie w habicie dążąc
szary mnich wstał po nocy okryć
zmięte łąki motyli komżą.

O modlitwo marzeniem daj mi
lekkie skrzydła w kolebce zielska
bym dostąpił po drodze rajskiej
niedościgłych wzorów anielskich.

Pod arkady dalekich sklepień
idą mgły jak wędrowni księża,
pragną boga z gliny ulepić
w uwielbieniu chcą oczy zwężać.

W mrocznych niszach poczęte życie
nie potrzeba już nowych ran ci,
już słońca bezkrwawy zbawiciel
nad ołtarzem się wzniósł monstrancją.

Jak z organów uderza z chmur gry
bezustannych nabożeństw trwanie,
szarpie wiatr szaty nowej liturgii
w chmurach znać nowych bóstw zwiastowanie

Nie pokuta wieczysta a zachwyt,
nie konanie, a chwała narodzin,
nie świątynie, gdzie w nawach się strach tlił,
ale pąki róż w żywym ogrodzie.

Idą śpiewnym szeregiem żeńcy,
dzień-apostoł im zmywa nogi
aureolą kos skronie wieńczy,
nie wiem sam czy to ludzie czy bogi.

Alicja Iwańska

WOJNA

Zamknij duszę
w najciemniejszych oddalach.
Niech trwa cicha, spokojna.
To nie próbny
— to prawdziwy alarm.
To wojna.

Lecą słowa,
walą się słowa
i bez przerwy
bez przerwy
bez przerwy
grają nerwy.
Za struną — struna.
Płoną dusze.
Nad duszami — łuna.

Zaciemnij oczy rzęsami.
Oczy i myśli.
Nadlecieli,
przypłynęli,
przyszli.
Zbrojni,
Pijani,
Wielcy.
Za każdy blask twej duszy
grozi
kara śmierci.

1939

Janina Brzostowska

JUŻ NIE POWIEM

Już nie powiem ci nigdy nic więcej,
ani poślę uśmiechu,
nie wyciągnę rąk — —
Niechaj wszystko zostanie
jak w dawnej piosence
bezgrzesznej i uroczej
gdy świat płonie wkrąg.

Słów jej smutnych nie oddam
nigdy i nikomu
bo cóż by mi zostało, drogi,
powiedz sam — —

Szczęście ze mną nie mieszka
niema go w mym domu
i dróg niema do ciebie —
cóż wybierać mam!

Jadwiga Korczakowska

PO WOJNIE

Z wiatru ściany
a dach ze słomy,
każdy przedmiot kłuje i parzy,
wzrok przysłania cień twojej twarzy.
Kiedy wrócisz, o najdroższy, do domu!

Uśmiech dziecka
rozjątrza rany —
ono jeszcze w twój powrót wierzy,,
drzwi otwiera co dzień na ścieżaj.
Kiedy wrócisz do domu, ukochany!

Biegam w koło
narasta praca —
spod czołgów mrówka ocalała
na powierzchni od krwi stwardniałej.
Dlaczego, o najmilszy, nie wracasz!

Gruzy szczęścia —
szczątki ulicy
z za węgła strzeli wieść, zabije:
że już dawno zgasłeś, nie żyjesz!
Przestań, ono, miesiące, lata liczyć...

Dni zmazuję
kreska po kresce —
czy się kiedy miecz bólu stępi!
Nie. Powiedział Tomasz a Kempis:
musi człowiek cierpieć póki Bóg zechce.

Janina Brzostowska

GDYBYŚ CHCIAŁ

Gdybyś chciał uśmiechnąć się do mnie
powiedziałabym:
wszystko zapomnę!
Wszystkie burze gniewy i żale
podrę i spalę.

Ale ty się nie uśmiechasz
wcale
obcą ścieżką, nieznaną mi chodzisz.
Mały cierniowy żywopłot
sady nasze przegrodził.

Krystyna Salaburska

BIAŁA FLAGA

Nie trzeba z kwiatów sobie wróżyć
I szukać pięciu płatków bzu —
Ta noc się nigdy nie powtórzy:
Nigdy nie wraca się do snu.

Jeszcze raz szałem zamrocz oczy
Nim świt przywlecze dnia zawiłość
I już samotna będę toczyć
Jak grzechu kulę — naszą miłość.

Krystyna Salaburska

POETA I PASTUCH

Siedział przy biurku i dumał w ponurym, ciężkim milczeniu
Myśl każdą w zdaniu zamykał jak w urojonym więzieniu.
Za oknem grała fujarka obłąkanego pastucha,
Więc marszczył brwi i groźnie dymem „egipskich" buchał —
Kto się ośmiela przeszkadzać arcymistrzowi w natchnieniu!!

Bzyknęła znudzona mucha, szyba jęknęła w udręce,
A ten się puszył, przymykał oczy i moce przyzywał,
Aby spłynęła ku niemu Muza Poezji płochliwa — —
Kwiaty już dawno pomarły od dymu w japońskim wazonie,
A kartki niezapisane, jak słonie... jak białe słonie...
Zrozumiał, że nie napisze dziś ani wiersza więcej.
Dopił wystygłej kawy, znużone załamał ręce — —

Muza piszczała z uciechy, jak łaskotana dziewucha
Siedząc okrakiem na dudce wierzbowej głupiego pastucha.

Władysław Dunarowski

HISTORIA CZASU ŻNIWNEGO

ROZDZIAŁ POWIEŚCI NIEWYDANEJ PT. „LEŻĄC KRZYŻEM"

Drzewa obsiadły ją dokoła. Dwa dorodne jesiony, lipa, przez całe lato brzękiem pszczół napęczniała, no i ta jabłoń, którąś tam zimą srodze zmaltretowana, a teraz nagimi kikutami łapiąca z trudem wielkim okruszyny życiodajnej mocy słonecznej.

Ona sama przykucnęła w środku. Ona — chata odwieczna, tymczasowa własność starego Kępy. Tymczasowa — jako że najstarszy syn, Filip, jest w tym wieku, że przepis na niego mógłby nastąpić każdego czasu. Trudno: Kępa nie zmieni utartego porządku rzeczy. Syn dorasta, mus go żenić, mus zdać mu pole z chatą, sobie tylko kącik wymówiwszy. Taki jest bieg tych spraw i nic go odwrócić nie może. Choć, Bogiem a prawdą, trudno się z tym Kępie pogodzić. Już zdawać? Nieraz odnosi wrażenie, że nie dawniej jak wczoraj osiadł na tym polu. Nie wiele dawniej. Kiedyż to przeleciały owe lata?

Z pewną niechęcią patrzy na dorastającego syna. Jak ten chłopak rośnie: niedawno był dzieckiem, a dziś kawaler pod wąsem. Co prawda z żeniaczką mógłby jeszcze poczekać parę lat, gdyby nie te długi. Nie ma wyjścia, tylko trzeba szukać dziewczyny, któraby wniosła potrzebne pieniądze. Odpowiednie wiano na zaspokojenie dłużników. Całe szczęście, że chłopak urodny, bo da się więcej utargować. Całe szczęście. — Miły Boże, jak to lecą te roki: Ani się obeźryć.

Jeszcze czerwieni się lato. Jeszcze zadowolenie nagrzewa się słońcem. Jeszcze stary Kępa patrzy na syna bez żalu i bez wyrzutu.

Są żniwa.

Chata prawie pusta. Została tylko stara Jędrzejka. Krótko mówiąc — wyręka we wszystkim. A jeszcze krócej: babka. Dla niej tu żniwa — w chacie.

Starowina z trudem daje sobie radę. Biega po izbie za tym i owym, sapi, przystaje, gdy ją w piersiach coś mocniej piknie. Czasem aż tak piknie, że w oczach robi się ciemno. Potem znów dalej. Znów sapi, znów idzie ku tej nieskończonej robocie. Nawet przez myśl jej nie przejdzie, aby chwilkę odpocząć. Bo jakże? Roboty huk, zaś ona w chałupie sama jedna. Resztę ludzi jakby wymiótł. Wszystko w polu.

— Chwała Ci Panie!

Raz po raz spoziera w okno z zadowoleniem: od chmur nic nie grozi. A o to dziś jedynie chodzi. Żyto suche, zaczyna się kruszyć, patrzy się mu być już w stodole a nie na pokłosach. Zarućko — a bedzie: Tylko ich widać, jak nadjadą drabiniastym wozem, wyłożonym snopami po szczyt. Ho, ho, nie byle jaki wóz: Dziadkowa jeszcze robota... Jędrzeja... Świeć mu Panie! Wytrzymałby nie tyle. Mocny Boże! Jędrzeja dawno nie ma, a wóz jest i jest. Zdawałoby się, że człek twardszy, a tymczasem marny wóz...

Znów odrywa się od roboty i leci do okna. Czy aby na niebie coś się nie zmieniło? Oj, bo dosyć należało się żyto w pokłosach, dosyć namokło, zanim się wreszcie te chmurzyska przetarły. Także i ludziska dosyć się nalamentowali i nawyglądali słonecznego zmiłowania. Za to jak się dziś dorwali do pola, to się dorwali. Trudno się kogo dowołać do jakiego jadła.

Jędrzejka krząta się koło wieczerzy, chociaż myślami jest w polu. Tam, gdzie żyto wiążą w snopy i na wóz ładują. Gdzie zapach żniw zalatuje aż pod serce. To przynajmniej jest robota! Nasili się człek, bo nasili, ale wie, że coś zrobił. Nie tak, jak w domu. Tu, choćbyś ręce poodrabiał, paznokcie pozdzierał, nikt tego nie zobaczy. Ledwo się obejrzeć — śladu, znaku... Próżne garnki i nic więcej.

Wzdycha ciężko.

Tamci se przynajmniej użyją! Hej, mocny Boże! I przed oczyma stają jej owe zbiórki, gdy ona sama brała w nich udział. Zdaje się jej, że jeszcze czuje ową radość, drgającą koło serca, gdy człek trzymał w ręku nowe ziarno, powracające w swej nieskończonej wędrówce z ziemi do człowieka. Bywało, bywało, ale już nigdy nie będzie. Są młodzi, muszą także oni nacieszyć się, aby wiedzieli, co to jest życie. Nie zazdrości im. Wie, że co fala czasu uniosła, nie wróci. Teraz trzeba żyć radością tamtych, ich zachwyceniem i ich nadzieją.

Dziwna rzecz, iż ta radość życia w jej pokurczonym ciele nie więdła bynajmniej z upływem dziesiątków lat. Rok rocznie z jednakim utęsknieniem spozierała na łąki, rychło sianokosy nastaną; rok rocznie z tym samym uczuciem oczekiwała żniw. A gdy nadszedł wreszcie czas upragniony, brało ją wtedy coś za serce, coś przeogromnego, że z wielką chęcią pogoniłaby się z dziećmi po skoszonej łące, lub na wielkim owsianym ściernisku. I do wielu innych rzeczy ją pchało, że szkoda wspominać. Przez krótki ułamek sekundy mogło się jej wydawać, że młodość jeszcze raz powraca.

Gdy wszyscy rozchodzili się w pole, ona zostawała, aby przyrządzić jadło, oporządzić dom. Wówczas starała się, ile tylko mogła, chcąc udowodnić, że... tak się widzi, ale Jędrzejka jeszcze sobie... jeszczę w siłach.

Tak się ino widzi...

Latała też z kąta w kąt, sama za wszystkim uganiając, w dodatku małe dzieci mając na oku. Czasem ją tam coś kolnęło pod łopatką, albo w krzyżach, albo koło serca. Czasem robiło się mdło, jakieś cienie stawały przed oczyma, wtedy duchem leciała po ocet, aby natrzeć skronie. Nie uwierzyłaby nigdy, że to może z nadmiaru użycia sił, których prawie już nie było. Nie, broń Boże! To tylko przez ten przeciąg. Tu okna, tam drzwi otwarte... Ani się człek spodzieje, kiej go wiatr podleci.

— Że te dzieciska tak się kręcą i nigdzie usiedzieć nie mogą! Gadaj tam do którego...

Narzekając na te dzieci, chodzi od drzwi do drzwi, od okna do okna, zamykając otwarte, sprawdzając zamknięte. A gdy i to nie pomoże, wyjmuje flaszki z pomocnym na wszelkie bolenia Leśperelem, lub jeszcze skuteczniejszym Żmilecznikiem, naciera zbolałe miejsca, chcąc czym prędzej pozbyć się gośćca, który jej wlazł, gdy to ją we drzwiach zawiało.

Ale niechby coś w garnku głośniej zapyrczało, rzucała wszystko i biegła w stronę pieca. Bolenie nie ucieknie — zaś co by to było, gdyby ziemniaki przewrzały! Niechże święci bronią! Wieczerza musi być, jak się należy. Napracują się tamci w polu, to i zjeść muszą.

Tym razem zabrakło jej wody. Woła na małego Franka, dowołać się nie może.

— Franuś kochany, przynieśże mi wody ze studni! W tym ino garnku... Nie zmordujesz się. Ja od ognia na krok odejść nie mogę.

— Nic się ogniowi nie stanie...

— Ale mi z garnka wykipi. Lećże prędzej!

— A co mi dacie?

— Dam ci co, ino idź!

— No, a co?

— Potem ci powiem. Teraz idź, bo mi pilno wody.

— Kiej ja chcę wiedzieć naprzód.

Chłopak nie ustępuje, wiedząc, że od babki różności można wycyganić.

— Oddam ci kurę, jak umrę.

— Czubatą?



LEON WYCZÓŁKOWSKI

MOTYW Z GOŚCIERADZA

TUSZ

— Dyć wiesz, że innej nie mam.

Franek wie, ale dla pewności warto się zapytać. Potem chwyta garnek i pędem wylatuje z izby, trzasnąwszy drzwiami, aż święty Antoni spadł ze ściany.

Babka sapiąc, zbiera potłuczone szkło. Dziwi się równocześnie, skąd w tym chłopaku tyle życia się wzięło. Gdyby to były lepsze czasy, warto by go dać do szkół. Lecz w tych warunkach szkoda marzyć o czymś podobnym. Z długu w dług się wpada. Ponoć myślą już o żeniaczce Filipa, by tym sposobem wygrzebać się z ciężarów. Może się tylko przesłyszała.

— O, dyć jeszcze tam śkło! Jezu Mogileński! Co to za ogień z tego chłopca! Byłoby cosi z niego. Żeby ino mu się kiedy co złego nie przytrafiło! Święty Antoni...

Łapiąc się za piersi, dźwiga się z ziemi i idzie do swych garnków, z których bucha para. W jednym coś pryska.

— Franek a dejże prędzej! Kejześ ta polazł?

Ale o chłopaku żadnego słychu. Więc Jędrzejka podchodzi do okna, otwiera i woła: — Franuś!... a prędzej, bo mi garnek pęknie!

Lecz z Franusia ani znaku. Studnia jest, ale wokoło żywej duszy. Ani garnka, ani chłopaka.

Jędrzejkę tknęło złe przeczucie. Nie myśląc wiele, idzie sama do studni.

— Gdzie miałam rozum, aby dziecko posyłać po wodę? Gdzie rozum...

Złość ją bierze na siebie, że stara, a tak ją czasem otumani. — No, bo nie sposób... a może? O wszyscy święci! Jezu Ukrzyżowany! Tak łatwo mógł się poślizgnąć... Gdzie rozum? Franuś?!

Nie mogąc tchu złapać, oparła się o studnię.

Nigdzie nic nie widać: ani garnka, ani chłopca. A może wpadł ze wszystkim?... Nachyliła się, woda dosyć głęboka, i... Tak, najprędzej to się stało.

— Gdzie rozum, gdzie rozum!...

Aby się całkiem upewnić, bierze długi kij i próbuje dotrzeć do dna studni. Słabo się jej robi, coraz większy brak tchu. Ale kijem maca. To tu, to tam. Na raz palce drgnęły: kij zahaczył o coś miękkiego

— Ratujcieee!

Zemdlała.

— — — — — — — —

Franek tymczasem dzielił się nowiną z Wickiem od sąsiada.

— prawdę ci mówię, że mam kurę.

— Ty? Nie pleć!

— Kiej ci mówię, że mam, to mam. Babka mi oddali. Pod sprawością!

— Jak to ci oddali?

— Powiedzieli, że jak umrą, to mi oddadzą.

Wicek ryknął w śmiech.

— Aleś ty głupi! Straszneś głupi! Twoja babka może umrzeć za sto lat, to kura do tego czasu zdechnie dziesięć razy. Aleś się dał wykiwać! Figę masz, nie kurę!

Frankowi zaczęły się otwierać oczy. Zrazu chciał wyśmiać Witkowe przemądrzania, ale zastanowiwszy się trochę, wnet zmiarkował, że kolega ma rację. Z determinacji odłożył garnek na ziemię i przestał myśleć o wodzie. Oszukała go babka z kurą, to niechże sobie teraz poczeka. Myślą starzy, że jak kto mały, to zaraz można go wodzić za nos. Coby nie!



LEON WYCZÓŁKOWSKI — MOTYW Z GOŚCIERADZA — KREDA

Usiadł na kamieniu i zaczął rozmyślać nad stanem swego pokrzywdzenia. Wtem doleciały go od domu jakieś hałaśliwe krzyki. Pewnie przyjechali ze zbożem. Trzeba lecieć ku chałupie.

W istocie fura stała na podwórzu. Ale sama. Nikogo z ludzi w pobliżu. Wszyscy przy studni. Czyżby się tak nagle wszystkim pić zachciało? Nie sposób. Te krzyki są całkiem inne niż zwykle, gdy ludzie się chłodzą wodą przy studni.

Franka bierze ciekawość, choć rozsądek mówi, że lepiej się nie zbliżać. Znów zawołaliby do podawania snopów w stodole, a to nie należy do przyjemności. Żeby chociaż w tych snopkach było mniej ostów, mniej kłujących badyli... Nie, stanowczo lepiej się nie pokazywać, dopóki z wozu nie zwalone.

Jędrzejka, powróciwszy do przytomności, zdołała wykrztusić: — Utopił się...

I znów zemdlała.

Teraz jedni zabrali się do dalszego jej cucenia, drudzy grabiami zaczęli obmacywać dno studni. Wszyscy mocno zaintrygowani wypadkiem. Kto się mógł utopić? Czy starowinie się nie przywidziało? Nikt dotąd nie słyszał, aby się kto w studni utopił.

Po chwili czyjeś ręce natrafiły na coś takiego, co istotnie mogło zaniepokoić każdego.

— Tu... do mnie drugie grabie! Ciągcie! Cosi jest. Czyby które dziecko? Do góry! Bliżej tamte grabie, słyszycie!

Nagle powierzchnia wody rozwarła się i... jedni w śmiech, drudzy rozwarli usta.

— Patrzcie, jaki topielec!

— Kura! Szczęście, że tylko taki.

— Babcyna, biała... Ale ki grzyst ją tu zagnali? Musiał ją kto zestraszać.

Wtedy przyskoczył Franek. — To moja kura! — krzyknął i rzucił się ku tym, którzy trzymali kurę na grabiach. — Moja...

Resztę słów utopił w żałosnym płaczu. Lecz nikt nie kwapił się ze słowami pociechy.

Gdy Jędrzejka otwarła oczy po raz drugi, zobaczyła przed sobą zatroskanego Franka, usiłującego za wszelką cenę zmusić czubatkę do stania na własnych nogach i trzymania głowy jak się należy.

— Franuś, toś ty? A skądżeś się ty wziął?

Chłopiec nie wie, co na to odpowiedzieć. Jeszcze nikt w życiu tak się głupio nie pytał. Skąd? Albo on wie! Także pytanie! Ale co się stało babce, że tak dziwnie patrzy na niego? Co on zrobił takiego? Ludzie także się dziwują... I przez co to wszystko? Przez marną kurę? Nic, ino z babką coś musi być w nieporządku. Chyba już jej niedługo. Wówczas chłopca chwyciła gwałtowna czułość, którą zdołał wyrazić pytaniem.

— Co wam to babko? Chorzyście, czy jak? Wiela ino wody wam potrza, tyla wam przyniosę. Całkiem za darmo.

Jędrzejka wracała zwolna do siebie. Zrazu patrzała jak pół przytomna. Dopiero widok fury pełnej jędrnych snopów pokrzepił ją zupełnie, usuwając resztki wątpliwości. Wnet o własnych siłach poszła przyrządzać wieczerzę. Przedtem jeszcze podeszła do wozu, wyciągła jeden kłos i rozmiełła go na dłoni. Plewy uniósł wiatr, a na spracowanej dłoni pozostały grube ziarna — błogosławieństwo ziemi, słońca i ludzkiego mozołu. Na sfałdowanej twarzy zakwitł blady uśmiech.

— Grube ziarno... ciężkie...

Po chwili dodała:

— Dobry rok, nima co pedzieć! Żeby ino tych fur było jako tako!.. Żeby Bóg dał zdrowia i czasu spokojnego! Żeby od nieszczęścia zachował!

I poniosła ziarno na dłoni ku progom odwiecznej chaty, ocienionej zapachem lip i jesionów.

I nie przeczuwając gromów burzy wrześniowej, na niebie jeszcze kwitło lato. Jeszcze w sercach ludzkich tliła się wiara w człowieka. Jeszcze dziki zwierz był synonimem dżungli. Jeszcze... Ale to już jest inna historia.

Bożena Osmólska

KŁOPOTY UNIWERSYTECKIE ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

Gdy ostatniego dnia sierpnia 1895 r. młody abiturient — z świadectwem dojrzałości pod pachą — opuszczał mury chojnickiego gimnazjum — nie bardzo jasno wyobrażał sobie, co dalej pocznie i jak swym losem pokieruje.

Wprawdzie w dokumencie maturalnym wyraźnie wypisano, że „opuszcza gimnazjum, aby studiować teologię", lecz słowa te nie odpowiadały jego zamiarom i pragnieniom. Nie pociąga go wiedza teologiczna, nie czuje w sobie powołania do stanu duchownego. Snują mu się raczej po głowie plany technicznych studiów na którejś z wyższych szkół niemieckich (t. zw. akademii), skłonny byłby pójść w kierunku elektrotechniki — nie są to jednak sprecyzowane, konkretne plany, raczej pomysły niepewne i chwiejne.

Trudno bowiem postanowić cośkolwiek, skoro brak zupełnie środków materialnych na dalszą naukę. Dochody ojca „woźnicy w Kościerzynie" ledwo starczają na utrzymanie domu i czworga młodszego rodzeństwa (dwóch braci i dwóch sióstr) — z domu więc czerpać niepodobna, raczej pomocby im trzeba.

Aleksander Majkowski postanawia przeto odsunąć ambitne marzenia o studiach uniwersyteckich na rok późniejszy (ma ukończonych lat 19), a tymczasem wrócić do Kościerzyny i jąć się jakiejś pracy zarobkowej. Znalazł taką, gdzie zarobku mało, a pracy dużo: przesączał swą wiedzę gimnazjalną w mózgi młodocianych uczniów, upośledzonych przez los, lub niesprawiedliwego profesora. Korepetytorka nie przyniosła mu korzyści materialnych: „z małego wynagrodzenia nie mogłem sobie nic ułożyć na dalsze studia" — wyzna w jednym z listów.

Jest więc równie goły, jak po maturze, gdy na jesień 1896 r. postanawia zrealizować wyjazd swój na uniwersytet do Niemiec. Po zabezpieczenie materialne zwraca się do „Towarzystwa Pomocy Naukowej" w Chełmnie, z którego opieki korzystał już jako gimnazjasta kościerski i chojnicki; liczy także na własne siły, na swoje doświadczenie pedagogiczne, zdobyte w mieście rodzinnym.

Spotyka go jednak wielki zawód. Tow. Pomocy Naukowej — odmawia mu stypendium dla braku funduszów. Nie może to jednak odwieść Majkowskiego od powziętego planu. Na wiosnę 1897 r., przy pomocy „przychylnych dobrodziejów oraz krewnych" przybywa do Berlina i zapisuje się na — medycynę, której odtąd poświęci się z najżywszym zainteresowaniem.

Przez dwa semestry radzi sobie przy pomocy środków dostarczanych przez rodzinę i znajomych, oraz dochodami z prywatnych lekcji. Taka sytuacja — prowizoryczna i od doraźnych zależna okoliczności, jest dla niego wielce uciążliwą. Dlatego po raz trzeci próbuje szczęścia w Tow. Pomocy Naukowej, szczerze i otwarcie przedstawiając swoje położenie: „...i najmniejsza pomoc ułatwiłaby mi tę trudną walkę o byt i potrafiłaby moje położenie ustalić. A bez pomocy byłbym zmuszony studia opuścić, do których się całym sercem przywiązałem i które już tyle trudu kosztowały".

Że nie wyolbrzymiał trudności swoich, tego dowodem świadectwo (doręczone do prośby) dr Pelkowskiego z Kościerzyny, który jako kasjer powiatowy Tow. Pom. Naukowej taką opinię o studencie wyraził: „Majkowski... znany mi jest jako pilny, zdolny i moralny człowiek, a położenie jego jest tak krytyczne, iż tylko przez natychmiastową pomoc ze strony Tow. Pom. Naukowej dalej studiować jest w stanie".

Tym razem powiodło się kandydatowi medycyny i od 1 paźdz. 1898 r. przyznano stypendium: 75 marek kwartalnie; — ma więc odtąd głowę mniej pełną „trosk o materialne potrzeby życia" i może teraz „oddać się całym duchem pracom egzaminacyjnym". Miał już za sobą Majkowski 3 semestry studiów, — aby utrzymać stypendium na dalsze lata, powinien na końcu 4-go półrocza złożyć egzamin, zwany „teutamen physicum".

Opóźniony w egzaminach, z powodu ubocznych zajęć dla zarobku, postanowił nadrobić zaległości przez okres wakacji Bożego Narodzenia, które spędzić zamierzał w Berlinie, by przygotować się do owego sześcio przedmiotowego „popisu fizycznego".

Tymczasem ponętna perspektywa wyjazdu do Warszawy, na odsłonięcie pomnika Adama Mickiewicza — pokrzyżowała tamte plany. Otrzymawszy (przez redaktora „Gazety Gdyńskiej" — Milskiego), zaproszenie komitetu warszawskiego podążył z radością „uczestniczyć przy owej historycznej chwili".

Sumą wrażeń gorących i patriotycznych wzruszeń chętnie okupił dalszą zwłokę w studiach i opóźnienie „teutamen physicum". Nie przypuszczał jednak, że egzamin ten stanie mu się teraz kulą u nogi, która utrudni dalsze studia, mocno skomplikuje sytuację — szczególnie materialną. Wprawdzie tym razem Tow. Pomocy Naukowej, na prośby petenta, nie uchyla stypendium i godzi się na przesunięcie terminu egzaminu o jedno półrocze, — ale pod tym warunkiem, że student dopełni swego obowiązku w najbliższej sesji. Pech jednak prześladuje Majkowskiego: — w czerwcu 1899 r. — odpowiedzi z fizyki ocenił profesor za niedostateczne, — i choć z innych przedmiotów wyniki są dość dobre, — „teutamen phisycum" należało raz jeszcze zdawać. To powinięcie nogi przy egzaminie odczuł student bardzo boleśnie; — liczył się przede wszystkim z utratą stypendium, bez którego dalsze studia wydawały mu się niemożliwe.

W ciężkiej chwili depresji maluje sytuację swoją w wniosku do Dyrekcji Pomocy Naukowej, której dotychczasowa dobroczynna opieka tak ważną spełniała rolę w jego akademickich trudach i pracach: „... błagam jeszcze Prześwietną Dyrekcję o łaskawe udzielenie wsparcia na semestr bieżący. Jestem bowiem w opłakanym położeniu, bom winien gospodyni należytość za mieszkanie za cały niemal semestr. Prócz tego nie mam za co kupić potrzebne książki, a te które wziąłem na odpłatę miesięczną, zabrano mi. Powinienem się i zgłosić do końca bieżącego miesiąca do popisu fizycznego w fizyce, co także kosztuje 10 marek. Skoro nie uzyskam wsparcia, zmuszonym będę opuścić Berlin bez skończonego physicum, przez co mogę utracić jeszcze więcej czasu". (13. 1. 1900).

Do tej ostateczności jednak nie doszło. Tow. Pom. Naukowej i tym razem okazało się wyrozumiałym, tak że skończyło się tylko na wstrzymaniu jednej (trymestralnej) raty stypendium. Majkowski zaś przysiadł energicznie fałdów i już w lutym 1900 r. zdał nieszczęsny egzamin i oceną dobrą uwieńczył ostatecznie ów upornie zdobywany „teutamen physicum".

Zbrzydł mu jednak Berlin, porzuca więc go i przenosi się na dalsze studia do Gryfii, o czym w maju donosi d-rowi Czapli (sekretarzowi Tow. Pom. Naukowej), tłumacząc zmianę dogodniejszymi tu warunkami materialnymi.

Z WYSTAWY OKRĘGU POZNAŃSKIEGO Z. P. A. P. W POMORSKIM DOMU SZTUKI



LUDOMIŁA LANŻANKA GRUDZIĄDZ AKWATINTA

Wkrótce jednak inne sprawy, wręcz ideowej natury skomplikowały mocno jego sytuację w Gryfii, a nawet uniemożliwiły dalszy tu pobyt. Co gorsza, postawiły studia Majkowskiego pod wielkim znakiem zapytania. A sprawa miała się tak:

W styczniu 1901 roku wziął Al. Majkowski wraz z uniwersyteckim kolegą Januszem Domańskim udział w zebraniu robotników polskich w Gryfii, występując na nim czynnie z manifestacją uczuć narodowych i propagandą idei stowarzyszenia polskiego. Zebranie uwieńczyło utworzenie polskiego towarzystwa robotników.

Nie przypuszczał Majkowski, że rzecz ta narazi go na restrykcje ze strony władz uniwersyteckich, tym więcej, że przepisy ówczesne w szkołach akademickich nie zabraniały w zasadzie udziału w towarzystwach politycznych. Już jako student berliński, należąc do kółka akademików Polaków, angażował się w pracy odczytowej w różnych polskich zrzeszeniach, na których zebrania kółko akademickie wysyłało swoich prelegentów. Działalność ta — jawna i publiczna, nie napotykała wówczas na żadne trudności, ni sprzeciwy. Inaczej stało się w Gryfii — czy to może świeża pamięć procesu toruńskiego (przeciw młodzieży szkolnej — poznań-

skiej i pomorskiej, której insynuować chciano jakąś b. groźną dla całości państwa pruskiego — robotę polityczną), wpłynęła na bardziej rygorystyczne ustosunkowanie do akcji studentów czy inne jakieś względy w grę tu wchodziły, — dość że władze uniwersyteckie dopatrzyły się w wystąpieniu publicznym Majkowskiego uprawiania „polskiej agitacji i propagandy", sprzecznej z odpowiednimi paragrafami przepisów szkół akademickich.

Rezultatem takiego orzeczenia było wydalenie z uniwersytetu (26 luty 1901 r.) i to na zasadzie „consilium abeundi" t. zn. z unieważnieniem tego semestru studiów, w trakcie którego nastąpiło relegowanie.

Apelacja od wyroku senatu akademickiego do ministra oświaty — zostaje oddalona. Decyzja ministerialna (z dn. 4-go kwietnia 1901 r.) w słowach dobitnych akcentuje winę „studenta Majkowskiego", — „założyciela i twórcy statutów" towarzystwa „o charakterze agitacyjno-polskim, przeznaczonym do konsolidacji polskości w krajach niemieckich i do atakowania niemczyzny", wypomina mu nadto przynależność do zrzeszenia studenckiego „Adelfia" — „którego tendencje antyniemieckie były ogólnie znane".

Dla Majkowskiego nastał moment ciężki, przytłaczający: wydalenie ze szkoły, utrata całego semestru studiów, wątpliwość przyjęcia przez inny uniwersytet w środku roku akademickiego, — a w dodatku zagmatwana poważnie sytuacja materialna. Skończył się już bowiem czasokres stypendialny, ustalony przez Tow. Pom. Nauk. a udzielona „prolongacja wsparcia" dotyczyła tylko 1-go półrocza.

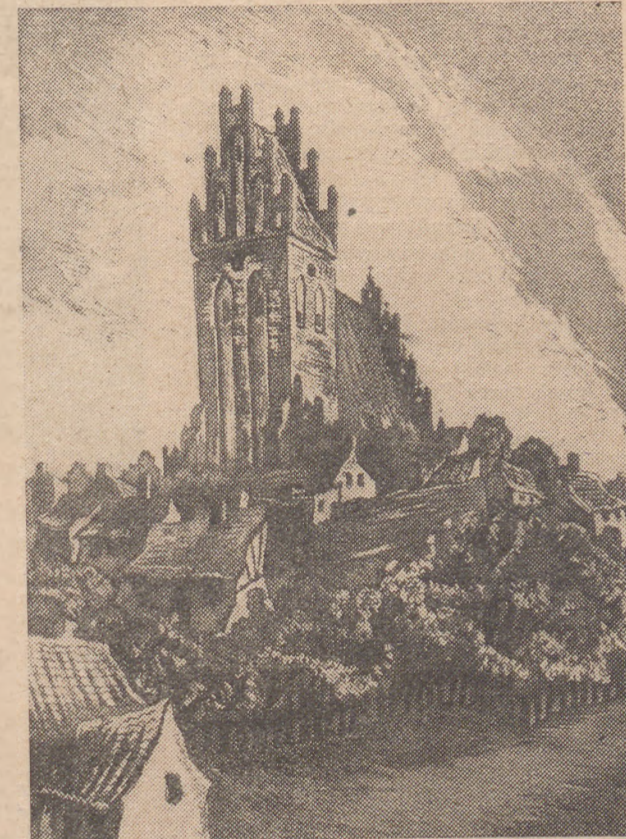
Znalazł się więc student-„agitator" w sytuacji omal że bez wyjścia. Zawieszony na ostatnim etapie studiów, bez środków finansowych i bez możliwości liczenia na jakieś ulgi ze strony czynników uniwersyteckich, przytem z piętnem jednostki nielojalnej, a więc tym samym niepewnej, podejrzanej, — nie daje za wygraną, lecz postanawia walczyć: o siebie, swoje studia, swoją przyszłość. Przede wszystkim liczy na pomoc ze strony polskiej: — mimo boleśnie odczutej odmowy Tow. Pomocy Naukowej, w chwili dla siebie najbardziej krytycznej, wierzy, że tylko stamtąd idący sukurs może go dźwignąć i wesprzeć w osiągnięciu celu. Nie waha się więc (po raz niewiadomo który!) odwołać się do jej dobroczynności i otwarcie odtworzyć swoje położenie. Znajduje przytem orędownika w kasierze T. P. N. na m. Kościerzyne dr. Pełkowskim, zacnym Polaku, który w piśmie do Dyrekcji T. P. N. taką mu żywą i gorącą rekomendację wystawił: ..... znam najlepiej stosunki p. Majkowskiego i jego gorące zamiłowanie do sprawy polskiej. Kierując się tą ideą brał udział w urządzeniu towarzystwa polskiego na obczyźnie... P. Majkowski nie licząc na zaciekłość teutońską i siłę hakatyzmu, który niestety już aż na krzesłach profesorskich wszechnic niemieckich się rozpiera, uczestniczył bona a raczej optima fide w tymże zebraniu, które aczkolwiek dla niego niesłychaną sprowadziło karę, dla społeczeństwa zawsze korzyść przyniesie.

Nie chcę się dalej nad doniosłością tego faktu... rozwodzić,... tyle jednakże radzę i uważam koniecznie potrzebne, p. Majkowskiemu z łona Towarzystwa okazać jako nieustraszonemu szermierzowi sprawy naszej, w jego obecnym bardzo krytycznym położeniu prawdziwą serdeczność". (List z dn. 3. 5. 1901).

Za Majkowskim wstawiły się jeszcze inne osoby, związane z T. P. N. (Parczewski Erazm z Bolna i ks. Pobłocki), tak, że już 23 tego samego miesiąca posyła mu dr Czapla ratę stypendialną do Berlina. W mieście tym, gdzie przed 4-ma laty rozpoczynał studia, znalazł się ponownie, aby próbować szczęścia w zabiegach o dopuszczenie do uniwersytetu. Niestety, bez skutku dobija się o przyjęcie; — uzależniono je od nadejścia akt sprawy z ministerstwa oświaty. Czeka na nie Majkowski kilka tygodni bez skutku. „W ten sposób trzymano mnie w Berlinie do Zielonych Świątek. Nareszcie odniosłem wrażenie, iż naumyślnie przeciągano sprawę, aby mi jeszcze dotkliwiej zaszkodzić, więc zażądałem zwrotu papierów i udałem się natychmiast do Monachium".

Rektor tameczny Ullmann, wysłuchawszy sprawy Majkowskiego okazał prześladowanemu słuchaczowi dużą przychylność i obiecał ze swojej strony iść mu na rękę. Było to jednak w środku roku i by móc imatrykułować się w terminie tak opóźnionym, należało uzyskać zezwolenie bawarskiego ministerstwa oświaty. I tu znów pech prześladuje Majkowskiego: po sześciu tygodniach przychodzi odpowiedź odmowna, tak, że nieszczęśliwy kandydat medycyny traci z kolei drugi semestr studiów. Wprawdzie oba te półrocza faktycznie nie były stracone, bo jak w Gryfii tak i w Monachium uczęszczał na wykłady i brał udział w studiach, jednak formalnie władze uniwersyteckie nie brały ich pod uwagę i nie liczyły do lat nauki akademickiej. W ten sposób pierwotne plany i obliczenia Majkowskiego, że do t. zw. egzaminu krajowego zgłosi się na Wielkanoc 1902 r. — zostały przekreślone i odsunięte o cały rok później. Studia więc Majkowskiego trwać miały ponad ustaloną normę i przewidywany czasokres. Dopiero na Wielkanoc 1902 r. obliczał ukończenie studiów — po 8 latach prawie!

Z WYSTAWY OKRĘGU POZNAŃSKIEGO Z. P. A. P. W POMORSKIM DOMU SZTUKI



LUDOMIŁA LANŻANKA GNIEW AKWATINTA

Tymczasem, ustaliwszy swą egzystencję na uniwersytecie monachijskim, z całym zapałem oddaje się nauce. Mimo męczącej sytuacji, mimo trudnych warunków finansowych, realizuje wytrwale swe plany, sięgające dawnych marzeń, wyrosłe z rojeń młodego maturzysty.

Ostatecznie więc w Monachium, po uciążliwych perypetiach, znajduje przystań student uparty z dalekiej Kaszubszczyzny, zdobywający wytrwale swój cel życiowy. I w najtrudniejszych chwilach nie ustępuje z placu.

Jerzy Remer

ZABYTKOZNAWCZE ZAGADNIENIA POMORZA

II. PROGRAM PRACY

Inwentaryzacja zabytków*) będąca podstawą wszelkich naukowych poczynań w dziedzinie zabytkoznawstwa Pomorza, jest atoli tylko środkiem prowadzącym do głównego celu. Tym celem zaś byłyby dzieje sztuki na Pomorzu (w pojęciu rozszerzonym), obejmujące całokształt przejawów artystycznych, występujących na całym terenie i we wszystkich epokach historycznych. Przygotowaniem do tej pracy syntetycznej mogłyby się stać monograficzne opracowania zabytków nieruchomości i ruchomości lub ich grup, wiążących się w pewne zespoły historyczno-stylowe.

Uogólniając te zadania zdajemy sobie sprawę z trudności w ich przeprowadzeniu (głównie z powodu braku dostatecznej ilości pracowników), nie mniej jednak względy metodyczne wskazują wyraźnie drogi prowadzące do wspomnianego powyżej celu.

Wcześniej czy później znajdą się przecież młodzi historycy sztuki, którzy podejmą prace przygotowawcze zwłaszcza, że krajobraz zabytkowy Pomorza przedstawia w skali nie tylko polskiej, lecz także powszechnej historii sztuki niemały interes naukowy. Zarówno bowiem zasięg pomorskich środowisk artystycznych jak i kierunki wpływów (w szczególności w średnich wiekach) wprowadzają do zagadnienia zabytkoznawczego geograficzno-historyczne momenty, pozwalające na wyprowadzenie interesujących wniosków co do rodzaju i charakteru zabytków pomorskiego obszaru.

Należy zatem znaleźć odpowiednie metody, o ile możności skracające studia wstępno-przygotowawcze, czyli, ściślej mówiąc, ustalić program prac zespołowych w omawianej dziedzinie. W projektowanym programie postaramy się pokrótce przynajmniej wypunktować najważniejsze zagadnienia zabytkoznawcze, wynikające z potrzeb pomorskiego terenu. Do tych problemów zaliczamy opracowania następujących tematów:

*) Patrz „Arkona" Nr 5-ty.

1. budownictwo drewniane ze szczególnym uwzględnieniem dawnej zabudowy wsi.
2. kościoły drewniane o starodawnej tradycji ludowej.
3. klasztorne fundacje cystersów, cysterek, norbertanek, benedyktynów, dominikanów, augustianów, joannitów i ich stosunki do wschodnio europejskich form artystyczno-stylistycznych.
4. kościoły halowe gotyckie.
5. kościoły bazylikowe gotyckie.
6. kościoły jednonawowe gotyckie.
7. zamki krzyżackie (komturskie i wójtowskie).
8. zamki obronne biskupie.
9. najstarsze grody książęce.
10. plany miast istniejących i zakładanych przez Zakon Krzyżacki.
11. fortyfikacje miejskie (mury obronne, bramy, baszty itp.).
12. ratusze.
13. architektoniczne elementy zdobnicze architektury ceglano-gotyckiej.
14. szczyty schodkowe architektury ceglanogotyckiej.
15. architektura renesansowa (ze szczególnym uwzględnieniem form dekoracyjnych, jak szczyty, attyki itp.).
16. wieże kościelne XVI, XVII, XVIII wieku.
17. dwory murowane.
18. architektura baroku i jej związki z architekturą zachodnio-europejską i polską.
19. domy i kamienice mieszczańskie (od gotyku do klasycyzmu).
20. fundacje klasztorne z XVII i XVIII w. (reformatów, jezuitów, bernardynów, kapucynów).
21. kościoły pątnicze i kaplice kalwaryjskie.
22. późnoromańskie chrzcielnice.
23. plastyka romańska.
24. kamienna rzeźba architektoniczna XIII i XIV w.
25. zabytki snycerstwa z epoki gotyckiej.
26. malarstwo monumentalne (ścienne) epoki gotyku.
27. malarstwo sztalugowo-gotyckie.
28. rzemiosło artystyczne gotyckie.
29. sztuka stolarsko-snycerska (ołtarze, stalle itp.) z epoki gotyck.
30. ludwisarstwo (od gotyku do baroku).
31. plastyka nagrobkowa (renesans, barok).
32. witrażnictwo.
33. malarze XVI i XVII w.
34. rzeźba kamienna późnobarokowa.
35. polichromie barokowe i rokokowe.

Powyżej wymienione pozycje (hasła) nie wyczerpują oczywiście pod względem tematycznym wszystkich zagadnień czy postulatów w dziedzinie zabytkoznawczej Pomorza. Licząc się natomiast z realną podbudową istniejącą w opracowaniach polskich i niemieckich (wymagających poważnej rewizji względnie uzupełnień) stwarzają pewnego rodzaju konstrukcję ramową dla pewnego obrazu dziejów sztuki na Pomorzu względnie ich rozdziały pomyślane także jako oddzielne wydawnictwa, wyposażone pod względem typograficznym w jaknajlepsze i dużego formatu plansze-reprodukcje.

Podkreślamy z całą świadomością, że tylko ten typ wydawnictwa uwzględniający dzisiejsze wymogi sztuki i nauki może liczyć na upowszechnienie naszej wiedzy, która musi wreszcie zejść z piedestału niedostępnego dla t. zw. laika i zająć należne jej miejsce w społecznej funkcji nauki.

Jerzy Remer



S T A N I S Ł A W   B R Z Ę C Z K O W S K I
STARY MŁYN W PUCKU   DRZEWORYT ORYG.

Mieczysław Zydler

ALOJZ HOECHTA

OPOWIADANIE

We wsi jest piekarnia a przy piekarni sklep, gdzie urzęduje Alojz Hecht, właściciel. Nazwisko jego skaszubizowali mieszkańcy wsi i nazywają go Hoechta. Jest to starszy już jegomość, okrągły i różowy, który przy rozmowie z klientem ma zwyczaj bębnić pulchnymi palcami po biało lakierowanej ladzie, gdzie w blaszanych formach leżą szeregiem żółte szneki, lukrem pachnące i fryturą.

Na pierwszy rzut oka odpowiada on doskonale swojemu pożywnie i mile woniejącemu otoczeniu, do którego upodabnia go lekki nalot mąki, na biało mu pudrujący czerwone policzki, krzaczaste płowe brwi, wytarte ubranie i nieodstępna płaska czapkę, głęboko na czoło nasuniętą.

— Oto człowiek na właściwym sobie miejscu, — chciałoby się rzec.

A jednak nie jest on wcale piekarzem z zawodu, lecz marynarzem, raczej byłym marynarzem, który na morzu spędził więcej niż trzy czwarte swojego życia. Od chłopięcego wieku służąc na statkach handlowych, doszedł wreszcie do samodzielnego dowództwa. Kiedy go spytać, dlaczego pływać przestał, odpowiada dobrodusznie, z wszelkimi pozorami prawdy, że ma zbyt lichy wid.

Istotnie, jego nieco zbyt blisko siebie osadzone oczy, jaskrawo niebieszczące się przy rumianych policzkach, mają osobliwy wyraz, jakby ich posiadacz patrzył w głąb siebie. Może rzeczywiście ma słaby wzrok, okularów jednak nie nosi. Zwyczajem starych Kaszubów nie patrzy też przy rozmowie w oczy człowiekowi, którego nie zna bliżej. Starając się ukryć spojrzenie pod grubymi brwiami, błądzi nim po sprzętach, po ubraniu rozmówcy, po jego twarzy wreszcie, pilnie jednak unikając oczu.

Dopiero kiedy nabierze do człowieka zaufania — nastąpić to może nie po miesiącach, lecz latach znajomości — wówczas w chwili przypływu szczerości, z trudem dobierając słów i kalecząc mowę wyrazami holenderskimi, angielskimi, niemieckimi i Bóg wie, jakimi jeszcze, opowie, co stało się bezpośrednią przyczyną jego zejścia na ląd.

Jest rdzennym Kaszubą i urodził się w tej samej wsi, gdzie dziś sprzedaje bułki. Jak tylu innych, — jako mały berbeć uciekł do Hamburga. Udało mu się tam zaciągnąć na pewien rejowy trójmasztowiec w charakterze chłopca kuchennego. W ostatniej chwili przed wyjściem fregaty na morze zatrzymała go policja i odstawiła do domu, gdzie ojciec za tę samowolną wyprawę dokładnie wyłoił mu siedzenie pasem.

Ale morze nie przestało go wzywać. Po roku uciekł znowu. Tym razem powiodło mu się lepiej. Od tej pory pływał przez lat trzydzieści siedem i przez cały ten czas ani razu nie zawitał na Kaszuby, przechodząc w niemieckiej marynarce handlowej wszystkie stopnie, od j u n g i aż do dowództwa 500 tonowego szkunera „Marie-Elise", którym woził drobnicę pomiędzy Kalkutą i Capetown.

Wszystko szło dobrze, ale czy na morzu można być kiedykolwiek pewnym swojego?... Wydaje się człowiekowi, że jest u szczytu kariery, aż raptem wmiesza się d i a c h e l i wszystko poplącze, dobrze jeszcze jeżeli swoją ofiarę z życiem wypuści...

Stary Hoechta wyjmuje z grubych, odętych warg ośliniony koniec cybucha długiej fajki i spluwa siarczyście w kąt, obok spluwaczki, przepisowo napełnianej codziennie świeżą wodą. Szare i niebieskawe pasma dymu snują się po izbie. W ukośnej smudze słońca, przenikającej przez brudnawe okno sklepowej wystawy, drży pył świetlisty. Pożywnie i miło pachnie upieczony świeżo chleb...

200 mil przed Przylądkiem Dobrej Nadziei w bezksiężycową, ale gwiaździstą noc na żaglowiec Hoechty władował się pewien parowiec duński, przecinając szkuner prawie na połowy. „Marie-Elise", obciążona niełuszczonym ryżem, po siedmiu minutach poszła na dno. Została tylko jej załoga, kołysząca się w szalupie na długiej oceanicznej fali, wraz z pokładowym pieskiem, którego nie omieszkano zabrać. Ocaleli wszyscy, mimo że sprawca nieszczęścia popłynął dalej swoim kursem, jak gdyby nikt na nim nie zauważył co się stało.

Tak się też później tłomaczył dowódca parowca, zaklinając się, że nic nie widziano, że najwidoczniej „Marie-Elise" szła bez świateł bocznych. Było to oczywistym kłamstwem, na co on, Hoechta, może przysiąc przed Bogiem.

Sąd morski, wbrew widocznej sprawiedliwości, uznał jednak słuszność wywodów kapitana parowca i odebrał Alojzowi certyfikat na lat pięć.

Były marynarz mówi o tym beznamiętnie na pozór. Jego bryłowata twarz, jakby wyciosana z gruba w czerwonym piaskowcu, pozostaje nieruchoma. Palce jego jednej dłoni, porośnięte rudym mchem, wybijają jak zawsze cichy werbel na płycie lady. Druga — podnosi spokojnie do ust porcelanową fajkę z wymalowaną kolorową główką bardzo przystojnej dziewicy. Jednak skóra w zewnętrznym kącie lewego oka, pokryta gęstą siatką cieniutkich zmarszczek, drga mu podejrzanie.

Po tym wypadku przez długi czas nie mógł dostać żadnej pracy. Był n a b i c z u *), jak się to mówi, i zaznał nie lada poniewierki. Dopiero wybuch pierwszej wojny przyniósł mu pożądaną odmianę i wprowadził z powrotem na kapitański mostek. Hoechcie zapomniano łatwo utratę szkunera na Oceanie Indyjskim, dano 300 tonowy parowczyk i kazano pływać z niewielkiego portu bałtyckiego Stolpmuende **) do Szwecji i z powrotem.

Mała to była „łajba", ale bądź co bądź Hoechta z bezrobotnego „biczkomera" znowu stał się dowódcą, panem życia i śmierci załogi, kiedy byli na morzu — pierwszą po Bogu istotą... Wielka to rzecz — dowództwo statku.

Jednakże po 10 miesiącach pomyślnej żeglugi parowiec wpadł podczas silnego sztormu, kiedy igła kompasowa kręciła się w kółko, jak zwariowana, na skały Szwecji — i poszedł na dno. Palacz i trymer, którzy nie zdążyli wyskoczyć z kotłowni, oraz cały ładunek — zginęli.

Hoechta pozostał w Szwecji aż do końca wojny. Ale po zawarciu pokoju, kiedy znów poszukiwał pracy na morzu, przypomniano sobie obie jego katastrofy i odebrano kapitański certyfikat na zawsze.

I wtedy dopiero odwiedził wieś rodzinną, w której nie był od tak dawna.

Zmiany zastał duże. Starzy rodzice nie żyli, ba, przecież sam Hoechta schodził już pod lat swoich wieczór, ale kawałek ziemi i chata zostały. Wybrzeże objęła powstała z martwych Polska, latem zaczęli napływać letnicy do cichej wioski, do niedawna zabitej — zdawałoby się — deskami od świata. Przeprowadzono szosy i autostradę, po której jęły biec pękate autobusy z zamożnymi gośćmi.

Do wsi zawitały oznaki poprawy bytu, powstały murowane domki zamiast murowanych c h e c z y, na nogach rybaków ukazały się nieprzemakalne skórznie aż po biodra, powszechnie zaczęto palić papierosy, zamiast starym obyczajem zażywać tabakę, wreszcie rzuciły kotwice na wodzie przybrzeżnej dwa kutry motorowe — nowy nabytek miejscowych rybaków.

Zarówno ludność, wydobywająca się powoli z nędzy, w jakiej żyła „za Niemca" jak i sezonowi goście, mieli swoje wymagania. Mogły one przynieść korzyść i przysporzyć ładnego grosza temu, kto umiałby je zaspokoić.

Nie święci garnki lepią... Były marynarz poszedł po rozum do głowy: najawszy fachowca, zajął się wypiekaniem i sprzedażą pieczywa. Poszło nad spodziewanie dobrze.

Ale poczucie pewnego gruntu pod nogami i spokojnego dachu nad głową po burzliwym życiu nie dawało mu snać zadowolenia, bo człowiek ten nigdy się nie uśmiecha. Może dlatego, że pozostał samotny, że będąc bezżennym i bezdzietnym nie ma od kogo zaczerpnąć wewnętrznego ciepła, potrzebnego dla rozluźnienia surowych rysów twarzy, dla niefrasobliwego, szczerego uśmiechu?... A może jest jakiś inny powód?...

Ma też swoje dziwactwa, z którymi ludzie — chcąc nie chcąc — muszą się pogodzić. Oto przed wschodem słońca i tuż przed jego zachodem, latem czy zimą, nie podobna kupić pieczywa. Piekarnia o tej porze jest zamknięta. Jej właściciela można wtedy zobaczyć, jak stoi na wydmie przymorskiej, z dala od uczęszczanego przejścia. Jego małe, jaskrawo niebieskie oczy spoglądają spod daszka płaskiej czapki hen, w dal morską, szafirową lub zieloną, ołowiano szarą lub perłowo opalizującą, białą od piany sztormu, lub z lekka tylko ruchliwą, zależnie od pogody.... Podmuchy wiatru oblepiają mu ubranie na grubym, zwalistym ciele. Jego wielka, nieruchoma twarz nie wyraża nic zupełnie, tylko fałda skóry u zewnętrznego kąta lewego oka drga podejrzanie...

Jedynie w pogodę zupełnie bezwietrzną, kiedy morze zaledwie z cicha mruczy coś przy brzegu, pokryte tłustym szkliwem ciszy — Alojz Hoechta pozostaje u siebie w piekarni, za ladą, cały dzień bez przerwy. Burkliwie powiada, że nad morzem nie ma nic do roboty.

Stary żeglarz kocha wiatr...

*) z angielskiego: „Beach" — brzeg.
**) dzisiejszy polski Postomin.

ROCZNICA WIKTORII WIEDEŃSKIEJ

W KASZUBSKIEJ WIOSCE ROKU 1883-GO

Powiatowy Referent Kultury i Sztuki w Chojnicach ob. Julian Rydzkowski nadesłał nam z Chojnic rękopis, znaleziony przypadkiem w zespole rozmaitych aktów i dokumentów. Okazało się, że jest to urzekający swą bezpośredniością opis obchodu 200-ej rocznicy wiktorii wiedeńskiej, urządzonego w r. 1883 w Raduniu, małej wiosce kaszubskiej pod Chojnicami.

Uważamy za celowe opublikować ten ciekawy dokument z przed 60-iu lat, charakteryzujący lud kaszubski lepiej, aniżeli niejedna rozprawa, lub artykuł. Nie wprowadzamy do tekstu żadnych poprawek i niczego nie skreślamy ażeby jego autentyczności nie fałszować i nie odbierać mu cech prymitywu posiadającego urok egzotyki literackiej.

Ogłoszenie tego opisu jest o tyle na czasie, że w roku bieżącym obchodzimy właśnie 250 rocznicę śmierci króla Jana III.

Na Pomorzu kult Sobieskiego był zawsze bardzo żywy. Obchód w Raduniu — to wypadek jeden z tysiąca, warto więc go upamiętnić jako typowe zjawisko tutejszych przeżyć narodowych.

Red.

Było to w roku 1883, krótko przed rocznicą 200 letnią zdobycia Wiednia przez Króla Jana Sobieskiego, gdy gazety polskie obszernie opisywały o tem, aby tej rocznicy dać w jaki kolwiek sposób uroczysty wyraz. Postanowiono również i w Raduniu stej okazji skorzystać i radzono nad tem, jakim sposobem by urządzić tę uroczystość.

Gdy tak rozmawiano na ten temat wystąpił nagle z grona jeden, a był nim Fryderyk Laska, młodzieniec 34 letny, pełen energii i zapału, oświadczając się, iż wszystkie przygotowania uroczystego obchodu przyjmuje na swoją odpowiedzialność, prosząc kolegów, by mu w tem pomocni byli.

Już czternaście dni przed rocznicą zaczęto czynić gorączkowe przygotowania. Laska jako kierownik tych przygotowań udał się do Pana Kiedrowskiego, większego właściciela ziemskiego i prosił go o dwa drzewa wysokości 30 metrów. Pan dziedzic Kiedrowski zgodził się chętnie i pozwolił wybrać ze swego lasu odpowiednie drzewa, które następnie ścięto. Jedno drzewo zawieziono na wysoką górę tuż za wioską Raduniem, gdzie miała się odbyć uroczystość, a drugi zaś przywieziono do wioski.

Na owa górę przywieziono również i kamień olbrzymiej wielkości, w którym wykuto pięć dziurów, tak że w każdą mógł się zmieścić ładunek prochu ćwierć funtowy. Kamień ten miał służyć jako armata do strzelania na wiwat. Wykuwaniem dziur w kamieniu zajął się Jan Pepliński, który był zawodowym kamieniarzem. Następnie przywieziono na tą górę trzy tęgie fury gałęzi suchych, które pan Kiedrowski podarował, jedną beczkę smoły i dwanaście litrów nafty. Naftę podarowała pani Gintrowa, właścicielka oberży w Raduniu.

Do słupa poprzednio przywiezionego przymocowano beczkę od smoły drutem,



JÓZEF KOTLARCZYK

DRZEWORYT ORYG.

potem napchano pełną beczkę słomy, następnie włożono w beczkę dwa butelki z naftą, każdą o zawartości sześciu litrów. Potem okręcono słup powrozem słómianym, tak, że powróz w beczkę wchodził. Tak przygotowany słup podniesiono do góry a następnie wpuszczono go do dołu i umocowano go tak, by stał mocno.

Gdy na górze ukończono przygotowania, przystąpiono do przygotowań w wiosce. Najprzód przystrojono i owinięto słup przedtem przywieziony zielenią i wińcamy, potem postawiono go do góry i umocowano. Słup postawiono naprzeciw sołectwa gdzie podówczas mieszkał Laska. Obok słupa tak pięknie przystrojonego ustawiono pomnik, a budował go Laska przy pomocy Juljana Webera, który był z zawodu stolarzem. Do budowy tego pomnika użył Laska futryny od drzwi, w których umieścił trzy obrazy, króla Jana Sobieskiego w środku, po prawej stronie Tadeusza Kościuszkę a po lewej zaś Józefa Poniatowskiego. Obraz króla Sobieskiego kupił Laska z Pelplina i zapłacił za takowi jedną i pół marki. Dwa zaś obrazy, Kościuszkę i Poniatowskiego posiadał Laska w domu już od dawna. Gdy pomnik ten stał już gotowi przybrano go w piękne kwiaty tak, że wyglądał jak istny ołtarzyk. Następnie postawiono przed pomnikiem cztery świece w pięknie przyozdobionych świecznikach. Po tych czynnościach przeciągnięto piękne girlandy od słupa poprzek drogi do okna Laski. W oknie umieścił Laska chorągiew polską narodową, biały orzeł na czerwonym tle. Od okna do pomnika przeciągnięto również wińce i girlandy, a na środku, gdzie wińce się krzyżowały umieszczono duży okrągły winiec, przybrany w wstążki narodowe polskie. Do słupa przymocowano tak samo chorągiew, przedstawiająca herb jagielloński, białego orła z rozpostartymi skrzydłamy na złotym tle.

Każdy miał zajęcie. Podczas gdy jedni pracowali na górze, inni byli zajęci przygotowaniem różnych niespodzianek; i tak Julian Weber, który pomagał przy budowie pomnika, zajęty był sporządzaniem lampionów, a miało być ich dwanaście sztuk według obliczeń Laski, i to: dziesięć sztuk małych i dwa duże. Te dziesięć małych były wykonane w pięciu różnych kolorach, i to: jedna para białych, druga czerwonych, trzecia para niebieskich, czwarta zielonych, piąta zaś żółtych. Dwa duże lampiony miały zaś każdy wszystkie pięć kolorów. Każdy lampion przymocowony został następnie do dużej tyczki, w której wydrążono dziurę, tak że można było włożyć świeczkę.

Już w przeddzień uroczystości zostały wszystkie główniejsze czynności wykonane. Nadszedł wreszcie dawno oczekiwany dzień i od samego rana zapowiadał śliczną pogodę. Słońce wrześniowe rzucało swe ciepłe promienie, a na niebie nie ukazała się nawet najmniejsza chmurka.

Po zachodzie słońca miała się uroczystość rozpocząć, to też gdy słońce schylało się ku zachodowi, zaczynali z różnych stron przychodzić uczestnicy obchodu do pomnika. Orkiestra, składająca się z sześć muzykantów stała już gotowa, a dowodził nią Jan Bielawski, który w wojsku służył przy kapeli. Również i strzelcy się schodzili, a było ich dwunastu. Każdy miał dubeltówkę przez plecy przewieszona, a dowodził niemy Jan Bruski. Zachodzące słońce rzucało swe ostatnie promienie i złociło niemi szyby w oknach. Wszystkie oczy były zwrócone na okno Laski, w którym powiewała chorągiew opromieniona ostatnim blaskiem słońca, napawając się pięknym wydokiem. Na każdym dachu powiewała chorągiewka, nawet u najbiedniejszego. Kto nie miał chorągiewki użył do tego celu obrus lub kołdrę białą. Na każdej chorągiewce wydniał napis „hurra!"

Teraz, gdy wszyscy się już zeszli, a poprzychodzili wszyscy z wioski, młodzi i starzy, kobiety z dziećmy na rękach a nawet z wiosków sąsiednich dużo przybyło. Wszyscy stali na zapowiedzianym już poprzednio miejscu; na samym przedzie stało siedm mężczyzn z chorągwiamy, za chorągwiamy stali chłopcy z lampionamy, za niemy stała orkiestra, a za orkiestrą ustawili się strzelcy. Koło strzelców stał również i Laska z przepasaną przez ramię szarfą w kolorze narodowym polskim czerwonym i białym a na maciejówce miał włożony winiec myrtowi. Obok Laski stało dwóch adjutantów, Wojciech Kiedrowski i Augustyn Skwierawski, za Laską ustawiły się panny które Laska przedtem wyuczył śpiewać pieśń „Boże coś Polskę" a za pannamy ustawiła się w porządku reszta pochodu.

Gdy tak wszystko stało w pogotowiu dał Laska znak do odmarszu. Na tę komendę zagrała orkiestra marsz bojowi. Pochód postępował w takt muzyki wolno i majestatycznie ku oznaczonemu miejscu ku górze. Gdy pochód stanął na moście, natenczas strzelcy się rozstąpili, a mianowicie: sześć strzelców przeszło na prawą a drugie sześć na lewą stronę, wtenczas Jan Bruski dowódca strzelców dał komendę, na którą zagrzmiała salwa z dubeltówek, a wszyscy uczestnicy krzyknęli „hurra!" panny zaś zanuciły pieśń „Boże coś Polskę", orkiestra im wtorowała, a pochód posuwał się znów naprzód ku górze tem samym porządkiem.

Na górze oczekiwały dwa specjalnie wystawione posterunki z niecierpliwością nadejścia pochodu, mieli oni ważna rolę do spełnienia a mianowicie: jeden z nich, Jan Pepliński miał strzelać z armaty pięciostrzałowej wykutej w kamieniu. Jemu to właśnie powierzono tę czynność jako kamieniarzowi zawodowemu, on to również wykuwał dziury w kamieniu. Drugi zaś, a był nim Antoni Kinowski, miał jako zadanie zapalić gromadę gałęzi a następnie powróz słomiany, który był owinięty wokoło słupa.

Gdy orszak zbliżył się u podnóża wzgórza, spełnił Kinowski swój obowiązek, zapalił gałęzie. Jasny słup płomieni wzbił się wysoko do góry. Następnie zapalił powróz słomiany, a że ten był poprzednio oblany naftą, zapalił się natychmiast. Ogień wił się po słupie do góry jak wąż ognisty, a gdy doszedł do beczki, to słoma w niej umieszczona, oblana przedtem naftą zapaliła się zaraz. Pod wpływem gorączki rozpaliły się butelki z naftą umieszczoną w beczce i potrzaskały się w drobne kawałki. Dopiero teraz był wydok wspaniały, gdy paląca nafta spadała na ziemię, wszyscy obecni zachwicali się tem pięknym wydokiem ,robiło to wrażenie, jakby ogień spadał z nieba na ziemię.

Jednocześnie gdy Kinowski zajęty był zapalaniem gałęzi i powroza, Pepliński pełnił swój obowiązek koło armaty ,zapalając lonty jeden za drugim, a miał je tak przygotowane, że co pewną odległość czasu padał jeden strzał. Gdy pierwszy strzał padł, to aż ziemia zadrżała, bo strzelcy obecni na górze oddali równocześnie salwę, huk od tej kanonady był tak silny, że w sąsiednych wioskach szyby w oknach drżały. Na obecnych robyło to wydowisko potężne wrażenie; dookoła ognia zgóry spadał również ogień, a ten ogłuszający huk armaty, z boku stała orkiestra i przygrywała.

Bawiono się tak długo, aż wszystkie ognie na górze pogasły, wtenczas dópiero ruszono spowrotem do wioski, tą samą drogą i tem samym porządkiem. W drodze powrotnej nic takiego się nie zdarzyło, tylko orkiestra od czasu do czasu zagrała marsza. Przed pomnikiem orszak się zatrzymał, orkiestra zagrała hymn narodowi polski „Jeszcze Polska nie zgineła", zapalono świece przed pomnikiem, śpiewano i rozmawiano wesoło, niektórzy się już rozchodzili do domów swoich, gdy wtem nadszedł amcvorsteher, niemiec nazwiskiem Godmann z pobliskiej wioski w towarzystwie buchhaltera z tartaku, również niemca. Amcvorsteher stanął zdumiony naprzeciw pomnika i zawołał na stojących wkoło uczestników obchodu: „Was wollt Ihr Leute hier? Wo ist der Schulz?!"

Na te słowa jeden stojący w pobliżu zareagował w sposób dość nieprzyzwoity, tak głośno, że wszyscy słyszeli i poczęli się śmiać na cały głos. Amcvorsteher czuł się bardzo obrażony tego rodzaju przyjęciem i ze złością zawołał: „Donnerwetter!!"

Ledwo niemiec te słowa wymówił, uczynił drugi niedaleko stojący to samo, skutek był ten, iż wszyscy tam obecni uderzyli w śmiech. Dopióro teraz niemca złość naprawdę opanowała, zaczął krzyczeć na wszystkich i powiedział: „Donnerwetter sieben Monate!"

Gdy amcvorsteher te słowa wymówił, zaczęli wszyscy na niego groźnie spoglądać i wokoło niego się gromadzić; niemiec poczuł trwogę, a krąg wokoło niego tymczasem coraz bardziej się zaciskał. Jeden z uczestników nazwiskiem Jażdżewski Michał trzymał kamień w ręku i zamierzał nim na amcvorstehera i byłby go niezawodnie uderzył, gdyby na szczęście nie nadszedł Laska, który go zatrzymał, prosząc równocześnie, by nie byto niemca, tłumacząc zebranym, że jeśli się niemcowi stanie krzywda, to Laska całe życie pokutować będzie musiał w pruskim więzieniu, i istotnie by tak było, gdyby amcvorsteher został pobyty.

Jakoś na prośbę Laski wszyscy się uspokoili, gdy niemiec poczuł się bezpiecznym, począł wszystkich przepraszać, iż on tego tak źle nie myślał i zachęcał, by poszli z nim do karczmi wypić na zgodę, lecz zarazem prosił łagodnie, by pozdejmowano chorągwie i godła narodowe polskie, czego jednak nie zrobiono, pozostawiając wszystko do następnego dnia.

Amcvorsteher wydał sądek piwa i wódki do tego, to też wszyscy pili i bawili się ochoczo do rana. Dopióro rano poszli niemcy, amcvorsteher i buchhalter do domu, bez obawi. Na drugi dzień otrzymał Laska wezwanie do amcvorstehera jako oskarżony, a oskarżył go jeden niemiec z wioski Radunia nazwiskiem Himpel. Amcvorsteher byłby skargę zaniechał, bo żył w przyjaźni z Laską, lecz jako urzędnik musiał ten akt oskarżenia popierać.

Przeciw Laskowi głosiło się przeszło dwadzieścia świadków, lecz Laska przyznał się sam do wyny, oświadczając, iż on sam z własnej inicjatywi powziął myśl uroczystego obchodu i zarazem prosił o jaknajmniejszy wymiar kary, tłomacząc się tem, iż nie był dostatecznie uświadomiony w tej sprawie. Wobec tego świadkowie zostali odrzuceni, jako niepotrzebni.

Wkrótce otrzymał Laska mandat karny, a mianowicie: jako główny inicjator tej uroczystości miał zapłacić dwadzieściapięć marek, Jan Bruski, dowódca strzelców i Pepliński, który obsługiwał armatę, otrzymali również mandaty karne, lecz tylko po sześć do zapłacenia, względnie trzy dni aresztu. Laska zwrócił się w tej sprawie do Pana Cichockiego o poradę, przedstawiając mu przebieg sprawi. Pan Cichocki, posłuchaw-

szy o co idzie polecił Laskowi zapłacić, twierdząc, iż to jest najmniejszy wymiar kary, według przepisów. Lecz Laska zwrócił się w tej sprawie jeszcze do redaktora „Przyjaciela Ludu“ Pana Danielewskiego w Toruniu o wyjaśnienie jak ma postapić. Pan Danielewski dał odpowiedź natychmiast, zaznaczając równocześnie, iż wymiar kary jest najłagodniejszy w tym wypadku i polecił Laskowi zapłacić wedle możności, a nie iść do więzienia.

Po otrzymaniu tego wyjaśnienia Laska karę zapłacił w kwocie dwudziestupięciu marek, Jan Bruski tak samo zapłacił, Pepliński natomiast poszedł do więzienia, bo nie miał pieniędzy.

POMORZE POD OKUPACJĄ:

Ludwik Bandura

SIŁACZKI BYDGOSKIE

Któż z nas nie pamięta postaci nauczycielek w powieściach Żeromskiego? Taką Siłaczkę, która wszystko z siebie daje, że jedynie choroba i śmierć ją przezwyciężają! Albo taką nauczycielkę z dobrzowskiej szkoły w „Charitasie“, która wśród huku dział w ruinach zamku uczy dzieci! I tyle innych nauczycielek, o których nie możemy bez wruszenia pomyśleć! Miniona wojna wydała na ziemiach naszych cały legion „siłaczek“. Odrodziły się, spotężniały, zwielokrotniły, i, chociaż krwawo płaciły za swe bohaterstwo, rosła ich liczba. Powstaje w kraju zorganizowana sieć tajnego nauczania, dla której nie istnieją zabory, granice, fronty. Emisariusze oświatowi docierają wszędzie i wszędzie powstają zakonspirowane ogniska promieniujące oświatą.

Jest jednak jedno miejsce, dokąd nikt nie dociera; biała plama na mapie Polski wojennej. Miejsce zakazane, tabu, które każdy omija. Miejsce, gdzie sroży się bezprzykładny terror hitlerowski, miasto, w którym polskość jest tępiona niemiłosiernie, któremu narzuca się „praniemieckość“ — Bydgoszcz.

Zaraz po klęsce wrześniowej Niemcy aresztują wszystkich nauczycieli; 118 z nich przepłaca życiem swoją służbę dla narodu. Pozostałym skrzydłą nie opadły ani przestraszył dławiący ucisk wroga i hekatomby ofiar, które złożyli współkoledzy. Już w październiku 1939 r. powstają pierwsze podziemne szkoły polskie, komplety 5-, 6-, a nawet 9-osobowe w mieszkaniach nauczycielek i ich uczniów. Była to praca nie kierowana przez nikogo, podjęta w głębokim poczuciu obowiązku społecznego i z mocną wiarą w słuszność i zwycięstwo własnej sprawy.

Zczasem powstaje w Bydgoszczy 12 kompletów, które przerabiają program polskiej szkoły powszechnej ze szczególnym uwzględnieniem języka polskiego, historii i geografii, — nadto 2 komplety gimnazjalne.

Na kompletach pracowano z ogromnym poświęceniem. Nauczycielki zajęte w dzień po fabrykach, dzieci starsze też zaprzągnięte do ciężkiej pracy fizycznej, — a jednak zawsze znalazło się czas i siły, by codzień 4 do 5 godzin poświęcić nauce. Między uczniami a nauczycielkami wytwarza się głęboka spójnia duchowa, łącząca ich na zawsze silnym węzłem uczuciowym.

A ile trzeba przezorności, by utrzymać wszystko w tajemnicy! Ruchliwe i pełne wigoru dzieci zapoznały się nie tylko z tradycjami i kulturą swego narodu: nauczyły się również chodzić po cichu w klatce schodowej, by nie zwrócić swoim przejściem uwagi jakiej plotkującej Niemki, nauczyły się nie trzaskać drzwiami, mówić głosem przyciszonym. Za ścianą siedzi sublokator — Niemiec, narzucony nauczycielce przez niemiecki urząd mieszkaniowy. Naprawdę nie łatwo orzec, co wartościowsze dla dziecka: wiadomości zdobyte w tajnej szkole, które pozwoliły po wojnie stanąć od razu do pracy w gimnazjum i liceum bez straty lat wojennych, czy siła woli i charakteru, które wyrobiły się w tych warunkach.

Ile trzeba było sprytu, by zabrać na lekcje podręczniki i zadania domowe! Schowane gdzieś na dnie koszyczka z kartoflami, podzielone czasami na pół, na czworo, by grubość książki nie zwracała niczyjej uwagi, oprawione nieraz dla niepoznaki w niemiecką okładkę! A przecież i map i obrazów historycznych na lekcjach nie brakowało!

W tych warunkach uczyło się w Bydgoszczy około 500 dzieci polskich. Liczba skromna, gdy się przypomni blisko 20.000 młodzieży przedwojennej, w dni świąt narodowych w zwartych szeregach zapełniającej ulice Bydgoszczy, lecz liczba jak ogromna, kiedy wspomnimy gęsto rozsianych policjantów i SA-manów w mieście i rodziny polskie ścieśnione w najmniejszych i najniehigieniczniejszych mieszkankach. Ileż razy lekcje musiano przerywać, gdy jakieś podejrzane odgłosy dochodziły do mieszkania. W paru wypadkach lekcje „wizytował...“ policjant, lecz usunięcie w porę podręczników polskich i zainscenizowanie na prędce żywej rozmowy niemieckiej uchyliły niebezpieczeństwo.

Uczyło w tych warunkach w Bydgoszczy 30 nauczycielek i 11 nauczycieli. Pani Karowska sama prowadziła równocześnie kilka kompletów przez które w czasie wojny przewinęło się 149 dzieci. Barbara Gniot w Koronowie uczyła 125 dzieci, inni — po kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt. Niejedna pracę swoją przepłaciła obozem koncentracyjnym.

Młodzież bydgoska nie zapomni swoich „siłaczek“, które nie tylko, że nie chciały się „eindeutschować“, ale wbrew postanowieniom najeźdźcy nie pozwoliły się „zwolnić przez okupanta“ ze stanowiska wychowawców młodzieży polskiej i rozpocząć „przymusowej bezczynności“, jak to się nazywa w urzędowej terminologii.

Tadeusz Nowakowski

ŚLAD

Za plafonem nieba,
za mozaiką gwiazd
Bóg przechował cienie
zdruzgotanych miast.

Za sezamem zmarłych
snów, nocy i dni
czerwienią się rzeki
świętej ludzkiej krwi.

Z tamtej strony słońca
kwitnie modry bez,
rozchyl mokre liście:
morze ludzkich łez.

Za szklanym ogrodem,
za kotarą lat,
święci rajskim piórem
piszą listę strat.

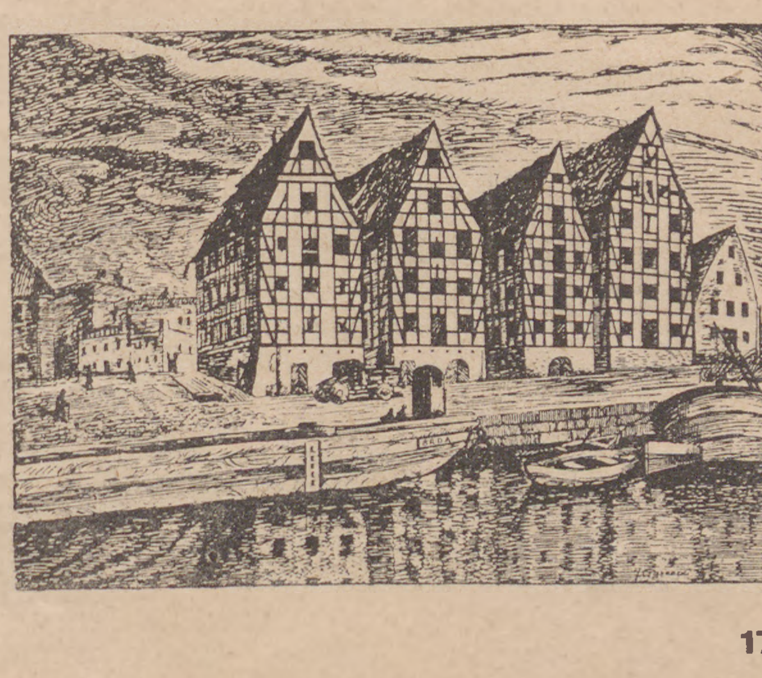
Po płaczącej wierzbie
spływa drżący nów —
Bóg zmarłym z ust zgarnia
resztki ludzkich słów

Pod namiotem ciszy
śpią w altanach róż
dusze utrudzone.
wędrówkami dusz.

Na gwiaździstej drodze,
gdzie graniczny słup
wbił anioł lotnikom,
krwawią ślady stóp.

W kłębie gwiezdnych puchów
poznałem ten ślad:
ędy wlókł się Chrystus
vygnany przez świat.

JÓZEF CZARNOCKI



ŚPICHRZE

KRONIKI PRZEGLĄDY SPRAWOZDANIA

ŻYCIE ARTYSTYCZNE STOLICY POMORZA

Bilans literacki

Czerwcowe wieczory bydgoskiego Klubu Literacko-Artystycznego zamknęły cykl tych ze wszechmiar pożytecznych imprez ubiegłego sezonu. W dotychczasowych zeszytach „Arkony" poświęciliśmy kolejno skromne wzmianki wszystkim dotychczasowym „środom literackim" czytelnicy naszego miesięcznika są więc w najogólniejszych zarysach poinformowani o zakresie działalności i wynikach pracy na tutejszym terenie. Tym niemniej warto obecnie wyciągnąć pewne wnioski z rezultatów całorocznej akcji odczytowo-literackiej, niewątpliwie bowiem bilans trzydziestusiedmiu „śród" — bilans w trudnych powojennych warunkach nad wyraz zadowalający dostarcza już pewnego materiału porównawczego tak dla oceny całokształtu obecnych wysiłków, jak i dla planowania przyszłych imprez literackich w Bydgoszczy.

Zanim to jednak uczynię, muszę jeszcze dopełnić swego obowiązku sprawozdawczego w stosunku do czterech ostatnich wieczorów Klubu Literacko-Artystycznego. Pierwszy z nich poruszył dziedzinę sztuki na „środach" powojennych jeszcze nietkniętą: sprawy teatru i aktora. Reżyser Teatru Polskiego w Bydgoszczy, Zofia Modrzewska, wystąpiła tu z dialogiem o aktorze, poruszającym blaski i cienie zawodu aktorskiego i kwestie interpretacji dzieła scenicznego. Jak łatwo wywnioskować — tematyka dialogu nie była rewelacyjna, jednakże prelegentka będaca dobrą znawczynia tajników sceny wniosła tu szereg momentów zdolnych zainteresować nawet doświadczonego bywalca teatru. Krytyk teatralny, dr Jan Piechocki, swą wstępną prelekcją doskonale wprowadził słuchaczy w tok dialogu.

W związku z pierwszą wystawą pomorskich artystów plastyków w bydgoskim „Domu Sztuki", wystawą umożliwioną dzięki odbudowaniu tego gmachu przez Klub Literacko-Artystyczny, urządzono — tym razem nie w sali odczytowej, lecz w salonach wystawowych — wieczór poświęcony sztuce plastycznej. Prof. Jerzy Remer, znany historyk sztuki i konserwator, okazał się tu również dobrym krytykiem i teoretykiem. Tak jego uwagi wygłaszane o najcharakterystyczniejszych obrazach wystawionych w Pomorskim Domu Sztuki, jak i wypowiedzi wstępne uczące patrzenia na dzieło sztuki i przeżywania zawartego w nim piękna, niewątpliwie przyczyniły się znacznie do pogłębienia kultury plastycznej wśród tutejszego społeczeństwa, tym bardziej, że wieczór zgromadził pokaźne tłumy słuchaczy.

W dziesięciolecie śmierci Maksyma Gorkiego zorganizował Klub Literacko-Artystyczny wieczór poświęcony twórczości tego wielkiego pisarza sowieckiego. Prelegentem był Aleksander Dzienisiuk, który jak zwykle wszechstronnie naświetlił nie tylko życie i dzieła omawianego przez siebie pisarza ale wszystkie współczesne prądy kulturalno-społeczne, a więc środowisko i epokę, z której wyrosły arcydzieła Gorkiego. Artyści dram. Wielicz i Przybora ilustrowali odczyt pełnymi ekspresji recytacjami fragmentów z dzieł pisarza.

Na trzydziestejsiódmej i ostatniej środzie literackiej Józef Maśliński mówił o „nucie człowieczej w poezji społecznej". Prelegent dał tu barwny przekrój polskiej twórczości poetyckiej ostatniego ćwierćwiecza, przeplatając swą żywą gawędę o poezji i poetach własnymi recytacjami odznaczającymi się wyrazistą zawsze interpretacją. Trafne w szczegółach wywody Maślińskiego zakończyły się bardzo surową oceną całokształtu naszej obecnej twórczości poetyckiej, kóra jego zdaniem nieliczne tylko wydała utwory o trwałej wartości i jednocześnie bliskie człowiekowi współczesnemu. Sąd ten wywołałby niewątpliwie ożywioną dyskusję, gdyby oczywiście środy literackie dyskusję taką przewidywały.

Jak napewno baczny czytelnik zauważy — uwagi moje z pewnych względów mają więcej charakteru sprawozdawczego niż krytycznego. O wszystkich dotychczasowych wieczorach bydgoskich można jednak powiedzieć, że odznaczają się one niemal bez wyjątku wysokim poziomem, a były wśród nich prelekcje po prostu świetne, wspaniale wygłoszone i rzeczywiście głębokie lub rewelacyjne w treści. Spełniają one też na pewno poważną rolę kulturalną w środowisku bydgoskim, zwłaszcza gdy sie zważy, że gromadzą one przeciętnie ponad 200, często zaś 400 i więcej osób.

Z 37 śród ub. sezonu urządzanych początkowo co 2 tygodnie, później co tydzień, 19 stanowiły prelekcje na tematy literackie, 14 z nich poświecono pojedyńczym pisarzom (11 pisarzy polskich, 3 obcych), 3 prozie i poezji współczesnej, 1 literaturze regionalnej, 1 teorii literatury. Wieczorów autorskich współczesnych pisarzy było 8, w czym 2 zbiorowe literatów bydgoskich, ponad to urzadzono 2 środy na ogólne tematy z zakresu sztuki i czytelnictwa (każda z kilkoma prelekcjami), 2 z dziedziny historii sztuki, 2 na tematy plastyki, 2 muzyczno-literackie, 1 o teatrze i 1 o kwestiach filozoficzno-społecznych.

O poszczególnych pisarzach czy zagadnieniach mówiły często dwie osoby, na wieczorach zbiorowych występowało raz nawet 10 osób. Razem prelegentów i autorów było 31, z czego 19 z Bydgoszczy (występowali 44 razy, nie licząc t. zw. „słów wprowadzających"), 5 z Torunia (wygłosili 10 odczytów, z czego 5 prof. Konrad Górski), 6 z Poznania (6 wieczorów) i 1 prelegent z Krakowa. Frekwencja publiczności na wieczorach autorskich była zawsze mniejsza, niż na odczytach, co świadczyłoby raczej o tym, że tutejsza publiczność więcej interesuje sie zagadnieniami, mniej zaś ludźmi. Sąd ten trzebaby jednak nieco sprostować, gdyż największą popularnością cieszyły się wieczory poświęcone twórczości pisarzy-dawniejszych (Mickiewicz, Prus, Orzeszkowa, Żeromski, Tetmajer, Balzac, nawet Lukrecjusz), na wieczorach autorskich nie przedstawiono zaś dotychczas żadnego z większych pisarzy doby obecnej.

Oprócz ewentualnego wprowadzenia wieczorów dyskusyjnych, środowisko typu Bydgoszczy wymaga więc gorliwego pielęgnowania klasyków literatury, poza tym zaś trzeba tu społeczeństwo zaznajamiać stale z aktualnymi zagadnieniami kulturalnymi i literackimi. Wreszcie powinniby tu liczniej zabierać głos wybitni współcześni pisarze, niestety jednak dotychczas trudno zainteresować literatów krakowskich, łódzkich czy warszawskich miastami takimi jak jest Bydgoszcz i Toruń. Pomoc moralna i materialna Z. Z. L. P. i Ministerstwa Kultury i Sztuki może tu jednak dać dobre wyniki, może sie też przyczynić do rozszerzenia ruchu literackiego na dalsze, mniejsze ośrodki Pomorza i Ziem Odzyskanych.

Al. K.



POMORSKI DOM SZTUKI

SALE WYSTAWOWE

Ruch muzyczny

Czerwiec rozpoczęliśmy recitalem wiolonczelowym **prof. Dezyderiusza Danczowskiego (2. VI).** Usłyszeliśmy Boccheriniego Sonatę A-dur, Saint-Saensa koncert a-moll, b. piękne Wariacje Symfoniczne Boellemanna, Pastorale Couperin-Cassadó i szereg utworów Debussy'ego, Ravela, Jahnkego, Moniuszki, Głazunowa i Davidowa. Danczowski zajmuje całkiem zasłużenie jedno z czołowych miejsc wśród naszych wiolonczelistów; szczególnie na podkreślenie zasługuje technika artysty. Akompaniował b. dobrze Tadeusz Kurczewski.

4. VI. przeżyliśmy wzruszenia artystyczne najwyższego gatunku. Grał **Stefan Askenase.** Doskonały pianista! Uderza w jego grze przede wszystkim wspaniałe rozróżnianie stylów i łatwość pokonywania najtrudniejszych problemów technicznych. Grał Mozarta Sonate B-dur, Scarlattiego trzy sonaty (g. a, D), Beethovena Patetyczną i szereg utworów Chopina. Chopina gra swoiście, nie tak jak przyzwyczailiśmy się grać sami — tymniemniej gra b. pięknie. Interpretacja ballady As-dur i poloneza tejże tonacji odbiegała znacznie od stereotypu. A jednak była przekonywująca i logiczna. Na „bis" wykonał artysta szereg utworów kompozytorów współczesnych, z których Taniec Ognia De Falla był zagrany z nadzwyczajna maestrią. Stylem, dynamika i czystościa gry tłumaczyć należy wielkie powodzenie Askenasego zagranicą.

6. VI. wysłuchaliśmy niecodziennego koncertu. Był to **wieczór amerykańskiej pieśni ludowej** w wykonaniu **Olgi Łady.** Nastrojowe i rzewne pieśni murzyńskie należą do najpiękniejszych w literaturze muzycznej całego świata (Negro Spirituals). Takie pieśni, jak Deep river, Sometimes I feel, Heavn' i inne, których jest tak wiele, śmiało mogą wchodzić do repertuaru największych śpiewaków. Nic dziwnego, że Marian Anderson wykonuje je zawsze na swych recitalach. Indiańskie natomiast pieśni mnie osobiście mniej przypadły do smaku. Znalazły jednak wespół z murzyńskimi, inteligentną interpretatorkę w osobie Olgi Łady, której towarzyszył na fortepianie, jak zawsze, doskonale Tadeusz Kurczewski. Słowo wstępne dr Z. Lissy było doskonałym wprowadzeniem w ze wszechmiar nieszablonowy koncert.

9 i 10 VI. Bydgoszcz gościła w swych murach uczestników **I Zjazdu Śpiewactwa Pomorskiego.** Przeszło 40 chórów — blisko 2.000 śpiewaków zjechało na przepiękna imprezę do Bydgoszczy. Przybył też witany entuziastycznie nestor i protektor śpiewactwa prof. W. Lachman. Odbył się konkurs chórów, którego zwycięzcą został męski chór kolejowy „Hasło" pod dyr. Wł. Wittstocka z Bydgoszczy, uzyskując największą punktację za wykonanie Prosnaka „Ballady o żołnierzu". Bliższe omówienie Zjazdu i konkursu odkładam do następnego numeru „Arkony".

10. VI. odbył się **II Koncert Symfoniczny** Wielkiej Orkiesty m. Bydgoszczy pod dyr. **Arnolda Rezlera** z występem solistów: **Krystyny Wiszniowskiej** (sopran) i **Konstantego Wroczyńskiego** (baryton). Program obejmował utwory Moniuszki, Żeleńskiego, Karłowicza, Statkowskiego, Niewiadomskiego i Nowowiejskiego. K. Wiszniowska posiada ładny głos, szczególnie średnicę i dół, natomiast płaska „górę". Tuszuje to wdziękiem i kultura wykonawcza. K. Wroczyński śpiewa pięknie i „z zacięciem". „Sołtys" Moniuszki, czy „Pieśń chorażego" z op. „Hrabina" wypadły b. ładnie. Orkiestra gra coraz lepiej. Na tymże koncercie śpiewał laureat konkursu chórów męski chór „Hasło" pod dyr. Wł. Wittstocka. Jest to niezawodnie najlepszy w tej chwili chór na Pomorzu. Chór wykonał szereg pieśni, transmitowanych przez radio, nagrodzony niemilknącymi oklaskami.

14. VI. zadebiutował młody pianista **Kazimierz Serocki.** Świeży absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi, kl. prof. Stanisława Szpinalskiego, pokazał się z najlepszej strony. Obfity program recitalu: Bach-Liszt Fantazja i fuga g-moll, Mozart Sonata D-dur, Beethoven Les Adieux, Chopin Sonata b-moll, Debussy — Wieczór w Granadzie, Ravel — Serenada błazna, Szymanowski — Fantazja, — dał możność zorientowania się w możliwościach koncertanta. Najbliższym dlań klimatem jest muzyka XX w., w niej czuje się najswobodniej. Serockiemu można wróżyć piękną przyszłość.

16. VI. odbył się **Poranek Symfoniczny** dla świata pracy w wykonaniu W. Orkiestry Symfonicznej pod dyr. A. Rezlera z udziałem K. Wroczyńskiego (baryton). Koncert obejmował muzykę polską, a został zorganizowany przez **Bydgoskie Towarzystwo Muzyczne,** to też słowo wstępne przed koncertem wygłosił prezes Towarzystwa inż. W. Miller, podkreślając wagę upowszechniania muzyki dla przyszłości muzycznej Pomorza.

Bydgoszcz może się pochlubić zorganizowaniem dwóch **koncertów kompozytorskich.** Pierwszy z nich **Konrada Pałubińskiego** (Pałubickiego), twórcy hejnału m. Bydgoszczy ,odbył się 18. VI. Wieczór wypełniły utwory fortepianowe, które grał sam kompozytor. Klimatem bliski Mussorgskiemu i Brahmsowi szuka własnego wy-

razu na śladach kuczkurystów rosyjskich, skompilowanych impresjonistami francuskimi. Niewątpliwie ciekawe niektóre fragmenty (Chimery, Zastygłe piękno) nie są jeszcze dojrzałym owocem, który się jada z wielkim apetytem, lecz nikt nie ma pretensji do doskonałości w pierwszych opusach swej twórczości. Kompozytor — popularny na terenie Bydgoszczy, współbudowniczy Pom. Domu Sztuki — został obdarzony koszami kwiatów i rzęsistymi oklaskami licznie zebranego audytorium.

22. VI. **III Koncert Symfoniczny.** Dyrygował **Arnold Rezler**, solistka **Olga Iliwicka.** Program: Uwertura do op. „Idomenco" Mozarta, Koncert fortepianowy e-moll Chopina, Symfonia Nr 5 (Z Nowego Świata) Dworzaka. Najwyższe słowa uznania należą się orkiestrze za Dworzaka. Trudna ta symfonia zagrana została b. ładnie, z dużą wnikliwością i patosem. Olga Iliwicka, rasowa pianistka o dobrych palcach i gorącym sercu spowiła koncert Chopina w impresjonistyczny tiul nierzeczywistości. Bardzo oryginalnie. Czekamy obecnie na jej recital.

25. VI. odbył się drugi z kolei **wieczór kompozytorski.** Tym razem wystąpił ze swą twórczością **Florian Dabrowski.** W koncercie wzięli udział koledzy młodego kompozytora bydgoskiego z konserwatorium prof. H. Kruppe, M. Eulenfeld-Sowińska i Z. Morska (fortepian), H. Popielowa i Z. Rorot (śpiew) oraz chór dziecięcy Szkoły Powsz. nr 4 im. M. Konopnickiej pod kierownictwem p. Smółkówny, który ślicznie odśpiewał ciekawe 3-głosowe „Bańki Mydlane" do słów J. Lieberta. Dąbrowski idzie utartymi drogami swych polskich poprzedników, przyczym w pieśniach najbliżsi mu sa Karłowicz, Niewiadomski i Szymanowski. Całkiem ciekawa i oryginalna jest Sonatina, pisana pod koniec zeszłego roku. Licznie zgromadzona publiczność, w podniosłym, ciepłym nastroju, zgotowała owację młodemu kompozytorowi, obdarzając go kwiatami i upominkami.

Czerwcowe koncerty zakończono **popisami uczniów Pomorskiej Średniej i Niższej Szkoły Muzycznej w Bydgoszczy,** które odbyły się w dn. 27. 6. (Niższa Szkoła) i 28. 6. (Średnia Szkoła). Poziom produkcji, jak na półtora roku pracy, — imponujący. W Niższej Szkole wyłowiliśmy kilka talentów, bardzo dobrze zapowiadających się. W Średniej Szkole bez wątpienia wysunęli się na czoło swoich kolegów śpiewacy: L. Wesołowska (dziewczęcy, miękki sopran o imponującej czystości brzmienia i intonacji). Al. Garbowska (nie duży, przyjemny sopran koloraturowy) — obie z kl. prof. F. Krysiewiczowej, A. Dachtera (ciepły, liryczny tenor) — kl. prof. J. Popiela, — skrzypacy: H. Keszkowski i W. Jahnkówna (dobra technika i bogaty ton) — kl. prof. H. Wojciechowskiej, pianiści: H. Mikołajczak (doskonale zapowiadający się niewidomy pianista) — kl. prof. W. Lewandowskiego oraz I. Lehrówna (młoda pianistka o doskonałym uderzeniu i jędrnym tonie) — kl. niżej podpisanego. Wyżej wymienieni, jak również uczniowie Niższej Szkoły: J. Bielmacz i Gr. Szubartowska (b. pięknie zapowiadające się młodziutkie pianistki kl. dyr. I. Jahnkowej), A. Gwozdowska — kl. prof. M. Sowińskiej, A. Kędziorski — kl. prof. M. Tołłoczkowej, oraz L. Michałowska — kl. Jasieńskiego wzięli udział w koncercie radiowym w Pom. Rozgłośni Polskiego Radia w dn. 1. 7. br.

2. lipca odbył się recital fortepianowy prof. **Zygmunta Lisickiego.** Niestety nie mogłem na nim być, jak również na **Czwartym Koncercie Symfonicznym** w dn. 5. 7., którym dyrygował A. Rezler, a solistą był Z. Lisicki. Recital Lisickiego obejmował utwory Debussy'ego, Skriabina, Szymanowskiego i Chopina. Opierając się na relacjach miarodajnych osób — podaję, że prof. Lisicki doskonale grał koncert g-moll Saint-Saensa, 5. 7., któremu akompaniowała wybornie W. Orkiestra Miejska, wykonując prócz tego ze smakiem Niedokończoną Symfonię Szuberta i Smetany przepiękny poemat symfoniczny „Weltawa". Cieszy nas bardzo, że orkiestra nasza czyni coraz większe postępy i stopniowo wysuwa się na czoło zespołów symfonicznych kraju.

9. lipca wystąpił z recitalem śpiewaczym słynny solista „La Scala" i opery królewskiej w Rzymie, jeden z najwydatniejszych współczesnych śpiewaków polskich — baryton **Jerzy Garda.** Urozmaicony program, misternie skonstruowany, pozwolił zorientować się w wielkich możliwościach artysty i podziwiać kunszt śpiewaczy Gardy, bez watpienia bardzo wysokiej klasy. Artyście akompaniował kompozytor St. Dzięgielewski. którego m. inn. 2 pieśni wykonał Garda na „bis".

Koncert Gardy zgromadził tłumy publiczności zgłodniałej dobrego śpiewu. Lipiec będzie stał pod znakiem śpiewaczym, a usłyszymy również znakomitą Ewę Bandrowską-Turską. W ostatnim tygodniu sierpnia Bydgoszcz przeżyje niecodzienne święto muzyczne pod hasłem „Tydzień Muzyki Polskiej", w którym usłyszymy najlepszych solistów polskich, jak: Irena Dubiska, J. Enicz, Wł. Niemczyk, A. Szlemińska, St. Szpinalski, H. Sztompka i K. Wiłkomirski, dyrygentów: Zb. Górzyńskiego, Z. Latoszewskiego i A. Rezlera, oraz Kwartet Smyczkowy im. K. Szymanowskiego. W tym też czasie odbędzie się w Bydgoszczy plenarne posiedzenie Ministerialnej Komisji Programowej Szkolnictwa Muzycznego pod przewodnictwem Naczelnika Janusza Miketty.

Jerzy Jasieński.

DEBIUT KOMPOZYTORÓW POMORSKICH



KONRAD PAŁUBIŃSKI

Pomorzanin, studia muzyczne odbywa w Poznaniu (muzykologia na Uniw. Pozn., fortepian u prof. Skrzydlewskiego, kompozycja u prof. S. B. Poradowskiego), później (w czasie okupacji) w Krakowie i Warszawie (prof. Zb. Drzewiecki i prof. K. Sikorski). Od 1945 r. przebywa w Bydgoszczy, pracując równocześnie wydajnie na polu organizacji życia muzycznego (ref. muz. w Woj. Wydz. Kult. Sztuki).

Pałubiński pisze prawie wyłącznie na fortepian; wyjątek stanowi kilka pieśni. Z szczególnym upodobaniem uprawia muzykę programową. Trzy rapsody, wizje (jezioro Wdzydzkie), legendy Maryjne, Hukaniada (w atelier krakowskiego rzeźbiarza Hukana), to przykłady takiej muzyki. Typ muzyki absolutnej stanowią mazurki i chimery (krótkie impresje). Kompozytor posługuje sę chętnie jaskrawym dysonansem i w tym kryje się przyczyna, że utwory jego nie „biorą" od pierwszego razu słuchacza przyzwyczajonego do supremacji konsonansu. Twórca szuka nowych dróg i w odniesieniu do środków wyrazu zaliczyć go trzeba do rewolucjonistów. W samej treści nie bez echa pozostały wojenne przeżycia autora. Rapsod I — rok 1939, Rapsod III — Warszawa, tchną przygnębiającym zwątpieniem. Nuta minorowa dominuje również w pozostałych utworach doby wojennej. Nieco pogodniejsze są mazurki.

Muzyka Pałubińskiego ma już dziś w Bydgoszczy swoich i sympatyków i przeciwników. Bydgoszczanie wdzięczni sa kompozytorowi za piękny hejnał rozbrzmiewający trzy razy dziennie z wieży kościoła Klarysek.



FLORIAN DĄBROWSKI

Urodzony w Poznańskim, jako syn organisty, studiuje w Bydgoszczy (Miejskie Kons. Muzyczne, fortepian i teoria spec.) oraz w Poznaniu (kompozycja u prof. S. B. Poradowskiego). Okupację przebywa w bardzo ciężkich warunkach. Od chwili reaktywizacji Konserwatorium Muzycznego w Bydgoszczy (przy dużym własnym współudziale) — nauczyciel teorii specjalnej w tej uczelni.

Twórczość jego jest bogata i różnorodna. Pokaźną pozycję zajmują pieśni solowe napisane z dużą znajomością głosu ludzkiego. Typ piosenek dla dzieci przedstawiają trzygłosowe „Bańki mydlane". Faktura „Baniek" nieskomplikowana i przejrzysta nie nastręcza specjalnych trudności dla dziecięcych chórów szkolnych. Z utworów fortepianowych na pierwszy plan wysuwają się Sonatina, Mazurki i Wariacje b-moll, zakończone podwójną fugą. Nie bez wartości są również fugi c-moll i g-moll. Do większych utworów należy Suita kujawska na małą orkiestrę, chór dzieci i solistkę. Utwór ten był wykonany dwukrotnie w Polskim Radio. Na wykonanie czeka kilka utworów na skrzypce, na chór mieszany oraz parę drobiazgów na fortepian.

Młody kompozytor lubi solidną robotę kompozytorska i ma coś do powiedzenia; nie posługuje się środkami radykalnymi, lecz tych, które stoją do jego dyspozycji używa dobrze.

Franciszek Wesołowski

Tydzień Muzyki Polskiej

W ramach uroczystości związanych z obchodem 600-lecia miasta Bydgoszczy, — jako zakończenie sezonu odbędzie się w dniach od 26 — 31 sierpnia 1946 r. wielkie ŚWIĘTO MUZYKI POLSKIEJ. z programem tygodniowym, obejmującym:

26. 8. Koncert kameralny KWARTETU IM. KAROLA SZYMANOWSKIEGO.

27. 8. Recital śpiewaczy ANIELI SZLEMIŃSKIEJ-ZAREMBINY.

28. 8. Koncert symfoniczny pod dyr. ARNOLDA RESLERA z udziałem skrzypaczki IRENY DUBISKIEJ.

29. 8. Recital fortepianowy HENRYKA SZTOMPKI.

30. 8. Recital wiolonczelowy KAZIMIERZA WIŁKOMIRSKIEGO.

31. 8. Koncert symfoniczny pod dyr. ZDZISŁAWA GÓRZYŃSKIEGO z udziałem pianisty STANISŁAWA SZPINALSKIEGO.

Wszystkie imprezy odbędą się w sali koncertowej POMORSKIEGO DOMU SZTUKI w Bydgoszczy, Aleje 1 Maja 20 (tel. 36-07).

Bilety tygodniowe (przy zniżce ok. 20-procentowej) zamawiać można codziennie w kasie Pom. Domu Sztuki w godzinach od 11 — 13-tej i od 15 — 18-tej.

Z salonu wystawowego w Pomorskim Domu Sztuki

Pierwsza wystawa Okręgu Pomorskiego Zw. Polskich Artystów Plastyków w Pomorskim Domu Sztuki — to poważny sukces młodego ruchu artystycznego Pomorza. Zwiedziło wystawę z górą 5000 osób i dokonano z niej szeregu zakupów tak przez osoby prywatne jak i do zbiorów publicznych. Delegacja Departamentu Plastyki Minist. Kultury i Sztuki nabyła drzeworyty Stanisława Łuczaka i Henryka Czamana. Komisja Zakupów wyłoniona z ramienia Minist. Kultury i Sztuki zakupiła prace: Bronisława Jamontta, Tadeusza Mokrzyckiego, Zygmunta Tomkiewicza i Jana Wodyńskiego. Do zbiorów Muzeum Miejskiego w Bydgoszczy zakupiono dzieła Bronisława Jamontta, Tymona Niesiołowskiego i Mariana Turwida. W przeddzień zamknięcia wystawy zwiedził ją Prezes Rady Ministrów Edward Osóbka-Morawski z otoczeniem.

Po kilkudniowej przerwie, otwarto w dniu 28. czerwca br. wystawę prac uczniów Szkoły Sztuk Plastycznych w Bydgoszczy. W dniu 14 lipca br. zaś odbyło się otwarcie wystawy prac członków Okręgu Poznańskiego Związku Polskich Artystów Plastyków.

Na całość tej poważnej ekspozycji złożyło się około stodwadzieścia dzieł następujących autorów: Adama Batyckiego, Stanisława Bogusławskiego, Franciszka Burkiewicza, Wandy Chełmońskiej, Alfonsa Chojnackiego, Józefa Czarneckiego, Kuźmy Czuryły, Dziurżyńskiej-Rosińskiej,

Zdzisława Eichlera, Stefana Englera, Witolda Gawęckiego, Bernarda Grzeszczaka, Jana Grzegorzewskiego, Ildefonsa Houwalta, Barbary Houwaltowej, Jana Kabacińskiego, Floriana Kiemińskiego, Józefa Krzyżańskiego, Janiny Kahlówny, Ludomiły Lanżanki, Alfreda Lenicy, Kazimierza Lisieckiego, Hieronima Maliny, Jana Piaseckiego, Stan. Powalisza, Krystyny Powidzkiej, Mariana Romały, Jana Spychalskiego, Anny Studzińskiej, Stanisława Szczepańskiego, Mariana Szwartza, Mariana Szmańdy, Henryka Straburzyńskiego, Edmunda Szyftera, Wacława Taranczewskiego — laureata tegorocznej nagrody artystycznej miasta Poznania, Franciszka Wawrzyniaka i Wilhelma Wieczorka.

Ograniczając się dziś tylko do zanotowania ekspozycji gości poznańskich odkładamy szersze omówienie tej interesującej wystawy piórem prof. Jerzego Remera do następnego zeszytu Arkony.

Obok wystawy plastyków poznańskich w Salonie Wystawowym, zorganizowany został w Małej Sali Pomorskiego Domu Sztuki stały pokaz prac członków Oddziału Bydgoskiego ZZPAP. Na pierwszy z nich złożyły się prace: Frydrycha Władysława, Modlibowskiego Aleksandra, Mokrzyckiego Tadeusza, Rupniewskiego Jerzego, Trieblera Piotra, Turwida Mariana i Wojciechowskiego Stefana.

M. K.

ZE SCENY BYDGOSKIEJ



CZOŁOWI ARTYŚCI „TEATRU POLSKIEGO" W BYDGOSZCZY W SZTUCE FRANCOIS DE CURELA p. t. „ZIEMIA NIELUDZKA". NA ZDJĘCIU: JANINA NICZEWSKA (KS. WIKTORIA), HELENA KRZYWICKA (PARISOT) I CZESŁAW STRZELECKI (PAWEŁ).

Pierwsze kroki Pomorskich Szkół Plastycznych

Pierwsze pokazy prac uczniowskich pomorskich szkół artystycznych budzą szczególne zainteresowanie z uwagi na fakt, iż do tej pory tego typu uczelni Pomorze nie posiadało zupełnie. Wspomniane pokazy stwarzają znakomitą okazję do zorientowania się w ilości, jakości i rodzaju uzdolnień młodzieży pomorskiej. Czy potwierdzają one częstokroć wyrażany pogląd, iż — skromny do tej pory udział twórcy pomorskiego w ogólnopolskim ruchu artystycznym wynikał, w części, z braku możności kształcenia wrodzonych zdolności, czy też posłużą za nader ważki argument tym, którzy z dużym sceptycyzmem odnosili się do oryginalnych możliwości twórczych pomorskich regionów.

Weźmy za podstawę naszych uwag pokaz prac uczniowskich tej szkoły, która z racji swego typu, zdaniem naszym, najbliżej, najbardziej bezpośrednio pozwoli nam zdać sobie sprawę z dyspozycji artystycznych autochtonów pomorskich. Szkoła Sztuk Plastycznych w Bydgoszczy — będąca w swej strukturze organizacyjnej, w części, jak gdyby zespołem kursów publicznych, do których dostęp nie jest ograniczony żadnym cenzusem naukowym nastręcza bardzo obfity i nader różnorodny materiał do badań.

Uczniowie i kursiści Szkoły rekrutują się przeważnie z kół niezamożnych i na ogół kulturalnie bardzo młodych. Wnoszą więc ze sobą materiał raczej surowy, często wręcz prymitywny ale i najbardziej świeży, najbardziej bezpośredni, nie tknięty nawet nalotem jakiejkolwiek maniery. Widoczny jest natomiast, zwłaszcza jeśli idzie o prace wstępne kursistów starszych wiekiem, pewien nalot wpływów niemieckich, zrozumiałych na terenie najbezwzględniej poddanym naciskowi germanizatorskiemu. Nalot ten jednakże jest bardzo powierzchowny i ustępuje widocznie, w miarę oddziaływania wpływów szkolnych, wydobywających do głosu rudymenty wrodzonego dobrego polskiego smaku. Wtrącić tu wypada uwagę, iż — w walce o definitywne usunięcie pozostałości niemieckich z naszych ziem, w akcji repolonizacji terenów zachodnich, i omawiana Szkoła i pozostałe uczelnie artystyczne na Pomorzu — stanowią już dziś niezmiernie cenne narzędzie. Że tak jest — o tym świadczą wystawione eksponaty, świadczą pierwsze próby młodych i najmłodszych talentów pomorskich.

Kierownictwo Szkoły — organizując, na zlecenie delegacji Depart. Plastyki Ministerstwa Kultury i Sztuki, która zwizytowała Szkołę, doroczny pokaz prac, poszło po linii jedynie właściwej, przez położenie nacisku nie na osiągnięcia szczytowe, efektowne, ale na zobrazowanie ciągłości rozwojowej pracy uczniów. Zilustrowaną zatem została sumiennie droga ucznia od pierwszych kroków pracownianych — poprzez następne stadia rozwoju. Linię metodyczną najwyraziściej ukazuje nam dorobek klasy prof. Mokrzyckiego, klasy dodajmy podstawowej, bo wdrażającej ucznia w studium rysunku z natury. Wyniki osiągnięto tu zastanawiająco dodatnie. Nauczycielowi udało się sumienność i ścisłość studiów złączyć z miękka, w całym słowa tego znaczeniu „malarską" fakturą rysunku. Publiczne kursy rysunków wieczorowych, prowadzone przez profesorów: Biedowicza, Mokrzyckiego i Czarnockiego, dały w wyniku szereg wartościowych osiągnięć, również dobrze świadczące o wysokim, przeciętnie, poziomie uzdolnień kursistów. Kurs „komopozycji brył i płaszczyzn" słusznie tak ważne miejsce zajmujący w nowoczesnej pedagogice artystycznej, prowadzi Zofia Ałaszewska, znakomicie, jak świadczą osiągnięcia, przygotowując wychowanków do należytego operowania zasadniczymi elementami abecadła plastycznego. Prowadzone przez dyr. szkoły, Mariana Turwida — studium malarstwa z natury — daje możność przekonania się o dużych uzdolnieniach kolorystycznych uczniów. Ich studia, acz często bardzo jeszcze naiwne w zestrojach barwnych, dają już przecież akordy kolorystyczne czyste i jasne, jakże odmienne w swym brzmieniu od narzuconego tym ziemiom, przeczernionego i brudnego, z reguły chorującego na atrofię barwną, malarstwa pruskiego.

Działy specjalne, jak tkactwo (prowadzone przez Daszkiewiczową i Sarnowiczową, ceramika i rzeźba (prowadzone przez Mieczysława Pawełkę), grafika (prowadzona przez St. Brzęczkowskiego i J. Nykę) i „sztuka reklamowa" (prowadzona przez J. Szyszko), znajdując się w stadium organizacyjnym, nie mogły dać jeszcze pełnych wyników warsztatowych. Szereg jednak prac wstępnych przez „działy" te wykonanych pozwala z optymizmem czekać na przyszłe osiągnięcia. W sumie — pierwszy pokaz Szkoły, to już nader wartościowe osiągnięcie i poważna zapowiedź na przyszłość.

Antoni Bagrowski.

W „Teatrze Polskim"

W czerwcu Teatr Polski wystawił **„Ziemię nieludzką"** François de Curel'a, dramaturga o dość niejednolitym obliczu, bo mającego w swym dorobku literackim oprócz lekkich sztuk bulwarowych również utwory, roszczące sobie pretensje do głębokich koncepcji. Do tego rodzaju utworów należy poniekąd i „Ziemia nieludzka", której treść osnuta jest na tle wydarzeń wojennych z okresu pierwszej zawieruchy światowej. Samo brzmienie tytułu, chłoszczące nienawiścią niemieckich okupantów, dzierżących w swym jarzmie francuską Alzację, uderza w ton pretensjonalnego patriotyzmu. Sugeruje poważne i wielkie zamierzenie autora, któremu na ogół, mówiąc słowami starego Corneille'a, zabrakło „wielkości w odwadze". Chociaż bowiem w sztuce pobrzmiewa głośna nuta patriotyczna, to jednak traci ona deklamacyjną pozą, gdyż pełny i czysty jej dźwięk zostaje zmącony przez silny pierwiastek ponętnej sensacji, zabarwionej swoistą egzotyką i baśniowym konwenansem miłosnym.

W małej wiosce alzackiej spotykają się pod jednym dachem piękna księżniczka pruska Wiktoria z Pawłem, kulturalnym i wykształconym chłopem, który w roli szpiega francuskiego pragnie zdobyć laury bohatera narodowego. Zawiązuje się krótki romansik, prowadzący do konfliktu między uczuciem miłosnym i patriotyzmem. Znany w literaturze motyw walki egocentryzmu z obowiązkiem wobec ojczyzny i społeczeństwa został jednak potraktowany dość powierzchownie, gdyż główną uwagę skupił autor na ewolucji miłości, której potęga wydaje się tłumić bezwzględnie wszelkie skrupuły w duszy Pawła.

Rzecz naturalna, że przy wysoce sensacyjnym założeniu nie zawsze udało się autorowi dla zasadniczej tendencji patriotycznej stworzyć odpowiednie ramy psychologiczne, zgodne z prawdą i realizmem, a pozbawione naiwnego efektu, łatwizn i uproszczeń. Linia psychologiczna utworu jest niejednolita, kręta i zagmatwana, balansuje między historią i legendą, między faktem i fantazją.

Autor początkowo bagatelizuje nie tylko moralne i społeczne skrupuły niemieckiej księżniczki, ale także jej instynkt narodowy, nadając mu niekonsekwentne podłoże psychologiczne. Jednakże ostatecznie instynkt narodowy Wiktorii zwyciężył, doprowadzając tym samym do tragicznego finału, którego ofiarą pada wdowa Parisot, matka Pawła, postać piękna i szlachetna, najbardziej realistyczna w całym utworze i dlatego głęboko wzruszająca swym szczerym i wymownym patriotyzmem. W niej właśnie najpełniej wyraziła się tendencja patriotyczna utworu, który z tego już choćby względu nie można uważać za pozycję przypadkową w repertuarze gdyż nie brak utworowi akcentów aktualnych.

W zakresie formy sztuka odznacza się przejrzystą lecz przewlekłą ekspozycją. Utwór robi wrażenie udramatyzowanej powieści sensacyjnej, której suchy, papierowy dialog staje się niekiedy nużący. Tak zwana teatralność sztuki cierpi na tym mocno i właściwie dopiero w ostatnim akcie spełnia swe zadanie.

Reżyseria Czesława Strzeleckiego przy budowie widowiska położyła akcent przede wszystkim na wizualne walory, podkreślone między innymi staranną dekoracją Muszyńskiego i pięknym strojem Niczewskiej.

Moim zdaniem reżyseria powinna by zwrócić baczniejszą uwagę na psychologię postaci Wiktorii i jeżeli by było to możliwe, pokusić się o uwypuklenie cech negatywnych charakteru i pozbawienie go tym samym pewnej dozy sympatii, która mimo wszystko budzi się u widza. Sądzę, że bez naruszenia tekstu dałoby się odciążyć tę postać od jaskrawych dysonansów psychologicznych, w które niestety wyposażył ją autor.

Rolę głównych bohaterów w sztuce de Curel'a przypadły czołowym artystom bydgoskiego zespołu. Helenie Krzywickiej (Parisot), Janinie Niczewskiej (Wiktoria) i Czesławowi Strzeleckiemu (Paweł).

Krzywicka w sposób naturalny i plastyczny odtworzyła postać bohaterskiej wdowy, poświęcającej swe życie dla dobra Francji. Niczewska jako Wiktoria tak ze względu na warunki zewnętrzne jak też przez szczególne dyspozycje swego talentu była zupełnie w swojej roli. Czystością i precyzyjnością dykcji nie dorównał jej Strzelecki, chociaż prostymi i naturalnymi środkami ekspresji stworzył na ogół żywą postać sceniczną. Spośród epizodycznych ról na uwagę zasługuje gra Stefana Lochmana.

*

Drugą premierą Teatru Polskiego była komedia Romana Niewiarowicza, nosząca przysłowiowy tytuł **„Gdzie diabeł nie może..."** Temat komedii sięga do okresu drugiej niepodległości, do momentu wzrastającego w czasie kryzysu gospodarczego bezrobocia, kiedy to częstokroć spryt życiowy, pomysłowość, protekcja i reklama torowały młodemu człowiekowi drogę do należnej pozycji materialnej w społeczeństwie. „Niezaradny" dr Bark, daremnie wyczekujący w swym gabinecie pacjentów, jest właśnie przykładem człowieka, walczącego z całą zmorą niezdrowych konwenansów, będących objawem poważnego schorzenia życia społecznego. Zdawało by się, że utwór Niewiarowicza dostarcza przede wszystkim komizmu społecznego, wpraw-

dzie starej daty, gdyż nie znajdującego już dla siebie miejsca w obecnej rzeczywistości, ale w każdym razie nie pozbawionego swego historycznego znaczenia. Niestety jednak w komedii przeważa komizm płytki, spalający się na powierzchni życia, posługujący się humorem nonsensu, humorem „obłaskawionym", rozpierającym się z równą swobodą w pozycji pro i contra. Autor nie sięga głęboko, nie odkrywa i nie demaskuje fałszu i krzywdy i nie dostarcza śmiechu mądrego i celowego, który potrafiłby w sposób zabawny sugerować pożyteczne wnioski, dotyczące zagadnień poważnych. Ton satyryczny komedii tłumi niefrasobliwa i łatwa anegdota i lekki, powierzchowny dowcip, wobec którego poczucie humoru staje się intelektualnym anachronizmem, zwłaszcza że nie brak w sztuce jaskrawych efektów, naiwnej karykatury i farsowego drygu.

Nie wiem, czy najbardziej śmiały i przedsiębiorczy reżyser potrafiłby ożywić i uszlachetnić ów tani, efekciarski komizm, martwo urodzony w łonie przezwyciężonej już rzeczywistości. W koncepcji inscenizacyjnej Zofii Modrzewskiej zaznaczyła się dbałość o stronę zewnętrzną widowiska, podkreśloną staranną oprawą dekoracyjną Muszyńskiego. Poza tym zaś groteskowy efekt, czepiający się tradycyjnego prymitywizmu, nie zawsze został należycie wycieniowany.

Roslan, na ogół unikając jaskrawych tonów i przesadnej ekspresji, trafnie pod względem scenicznym odtworzył postać Karpika, dobrodusznego głuptasa, romantycznego wdowca i trzeźwego kupca, — postać — jak widać — nie pozbawioną psychologicznych nonsensów. Kassowski w roli dr Barka był całkiem przekonywujący, odznaczał sę taktem i umiarem. Natomiast Stróżyńska w roli fertycznej Janki niekiedy była zbyt „zaradna" i nie uniknęła akcentów groteskowych, posuniętych do wyraźnej szarży. W rolach epizodycznych Wilkoszewska stworzyła żywy i plastyczny typ służącej Kundzi a woźnego Józefa — ochman.

Teatr Powszechny w Bydgoszczy wystawił w lipcu **„Roxy"**, komedię Barry'ego Conners'a, strawestowaną przez Czesława Strzeleckiego (teksty piosenek) i Stanisława Dzięgielewskiego (muzyka) na komedię muzyczną. Utwór nie grzeszy bogatą pod względem artystycznym fabułą, nie ma głębszych aspiracji i satyrycznego zacięcia. Igraszki miłosne o lekkim posmaku intrygi oraz niegroźne dąsy i pozorne gniewy małżeńskie w domu bogatego kupca Harringtona wypełniają treść, wzruszająca swą bezpretensjonalną naiwnością i nużącą dialogiem pustym i wyblakłym. Naiwne qui pro quo i papierowe postacie o schematycznej psychologii, naszkicowanej przy pomocy kilku rzutów, wykluczają z góry jakąkolwiek niespodziankę i napięcie u widza. Trudno jednak zastanowić się nad sztuką, która wcale nie pobudza umysłu do rozważań, która nie ma ani jednego dowcipu głębokiego i celnego. Jeżeli dotychczasowy repertuar naszych teatrów dałby się zasadniczo podzielić na repertuar wielki (Szekspir, Słowacki...) oraz na repertuar szczerej intuicji i nieświadomego nieporozumienia (Bałucki, Zapolska...), to trzecim uzupełniającym jego ogniwem będzie repertuar lekkich wrażeń teatralnych i niewybrednego gustu. Ten ostatni rodzaj repertuaru krytyk socjologizujący nazywa tradycyjnym lub mieszczańskim, krytyk cyniczny — kasowym, krytyk złośliwy — szmira. Nie chciałbym jednak prawić impertynencji. Któż wie, czy wystawiona u schyłku sezonu błaha komedia „Roxy" nie weźmie na swoje utrzymanie „Kazimierza Wielkiego", którego przygotowuje Dyrekcja Teatru.

Reżyseria Strzeleckiego na ogół staranna, we fragmentach akcji nie wyzbyła się jednakże jaskrawego efektu. Na czoło wykonawców wysunął się Roslan (Harrington) niezawodny i prawdziwy komik, który potrafi realizować najróżnorodniejsze typy w sposób naturalny i żywy. Jadwiga Łagunówna nie tylko samym śpiewem, odznaczającym się czystą intonacją i dużą swobodą artystycznej interpretacji, ale i dobrą grą przyczyniła się wydatnie do podniesienia poziomu artystycznego widowiska. Marta Nowosad (Grace) nie uniknęła tonu sztucznej deklamacji i szarży. Januszkiewicz (Anderson) i Huron (Caldwell) byli przekonywujący.

*

W lipcu gościł również w Bydgoszczy zespół krakowski na czele z Mieczysławą Ćwiklińską, który wystąpił w **„Skizie"** Gabrieli Zapolskiej, wystawionym niegdyś w Krakowie w teatrze im. J. Słowackiego. Samego wyboru sztuki nie można nazwać szczęśliwym. „Skiz" nie jest ani komedią społeczno-obyczajową, chłoszczącą zwyczajem Zapolskiej łyków miejskich i ich obłudną moralność, ani sztuką interesującą swą konstrukcją psychologiczną, ani budującą pod względem moralnym. Jest to typowy przykład komedii kameralnej, której akcja zamyka się w głuchych ścianach jakiegoś dworku, z jego życiem ograniczonym do ciasnych trosk gospodarskich i z jego zamkniętym i wyłączającym resztę świata widnokręgiem. Trzonem tej akcji jest erotyzm, noszący pozory nieszkodliwego flirtu i płytkiej miłostki, uprawianej dla urozmaicenia małżeńskiej nudy.

Komedia posiada wprawdzie zacięcie psychologiczne, ale brak jej głębszej motywacji i uzasadnienia; te wszystkie najsubtelniejsze nici, wiążące psychikę demonstrowanego środowiska z konkretną rzeczywistością zostają ukryte i pominięte. Mówić o jakimś poważniejszym problemie byłoby rzeczą naiwną.

Realizacja sceniczna utworu Zapolskiej w znacznej mierze usprawiedliwia niedowład jego zawartości treściowej. Sumienna reżyseria Emila Chaberskiego tworzy środowisko barwne i żywe, które przez swój wyraz plastyczny i akustyczny w sposób niezwykle sugestywny angażuje oko i ucho odbiorcy. Cała gra, wszystkie sytuacje i ruch na scenie są przekonywujące i uzasadnione. Podkreślają one i uwypuklają znaczenie słów i wydarzeń oraz rozbudowują psychologię postaci. Szkoda jedynie, że tło sztuki nie zostało w sposób bardziej wyraźny skonkretyzowane. „Akcja utworu toczy się przed wojną" — tak informuje program. Przed jaką wojną? przed tą, czy przed tamtą? Nie czuję się jednak na siłach określić bliżej współczesność sztuki. Widowisko w tym względzie nie dopomaga wcale a raczej dezorientuje.

Ludzie, żyjący w dworku, noszą par excellence nowoczesne stroje i nie mają innych kłopotów prócz kaprysów własnego serca, przepełnionego już to spóźnionym romantyzmem (Muszka), już to zimną trzeźwością dandysa dwudziestego wieku (Tolo). Szczęśliwi — widocznie nie grozi im reforma rolna. To też zabawiają się niewinnie i beztrosko w maskaradę, z którą rywalizuje kamerdyner w swej jaskrawej liberii.

Wykonawcy — Mieczysława Ćwiklińska, Jadwiga Baronówna, Wiktor Biegański i Kazimierz Szubert stanowią zgrany zespół, który wyblakłej komedii dodaje wiele rumieńców życia, tworząc widowisko pod względem scenicznym naprawdę ciekawe. Mieczysława Ćwiklińska mimiką i timbrem głosu wyposażyła swą kreację (Lulu) w doskonałą naturalność. Była to gra wolna od wszelkich przejaskrawień, wycieniowana w najdrobniejszych szczegółach, zabarwiona komizmem czystym i szczerym, niezmąconym żadnym przypadkowym gestem w ciągu całego widowiska. Baronówna w roli sentymentalnej i rozegzaltowanej miłością Muszki, dała kreację w swoim rodzaju skończoną, ujmującą trafną ekspresją artystyczną, widoczną zwłaszcza w dyskretnej modulacji, dobrze akcentującej skalę uczucia. Rubaszny lecz dobroduszny Wituś dzięki wspaniałej dyspozycji psychicznej Szuberta, podkreślonej wymowną sylwetką, tchnął prawdziwym życiem i niewątpliwie wniósł do sztuki duży zasób rzetelnego komizmu. Dobrą robotę aktorską zaprezentował również Biegański w roli Tola. Była to kreacja łagodna w tonie, odznaczająca się subtelnością plastyki i zdumiewająca swą wewnętrzną prawdą.

A. Dzienisiuk.



„MAJOR BARBARA" G. B. SHAW'A W TEATRZE ZIEMI POMORSKIEJ W TORUNIU W REŻYSERII WILAMA HORZYCY I OPRAWIE SCEN. LEONARDA TORWIRTA — JEDNO Z NAJBARDZIEJ UDANYCH PRZEDSTAWIEŃ SEZONU. ROLĘ TYTUŁOWĄ ODTWORZYŁA IRENA MAŚLIŃSKA. NA ZDJĘCIU: MAJOR BARBARA (MAŚLIŃSKA) I PROF. CUSINS (**T. FIJEWSKI**).

TORUŃ

Wieczory teatralne

Każda niemal sztuka Barnarda Shaw wprowadza nas w atmosferę dramatu, który wyrasta na podłożu deterministycznego poglądu autora na świat. Wszystkie zbudowane przez nas ideały są podporządkowane działaniu ślepej potęgi kierującej światem. Zamknięta w zaczarowanym kole fatalizmu myśl ludzka, daremnie stara się wyjść poza jego obręb. Wyjścia nie ma i nie ma dlatego ulgi etycznej w rozwiązaniu konfliktu, bo każdy akt naszej pozornie świadomej woli jest w istocie swojej tylko i wyłącznie nieuchronnie przewidzianym skutkiem spowodowanym przez niezmienną i niezależną od nas przyczynę.

Satyra Bernarda Shaw, ostra i cięta, kpiąca niemiłosiernie z człowieka i stworzonych przezeń pojęć o Bogu i Ojczyźnie, państwu i moralności społecznej, posiada w sobie głębokie akcenty tragedii myśli przeżywanej od wieków przez ludzkość.

Major Barbara — to jedna z ciekawszych komedyj Shaw. Tak jak wszystkie inne sztuki tego wielkiego Anglika, pozującego chętnie na syna Irlandii i twierdzącego, że „narodowość jest kwestią klimatu, nie rasy", porusza szereg zagadnień najbardziej aktualnych, żywotnych, niepokojących. Barbara jest majorem Armii Zbawienia. Jest symbolem miłosierdzia. Jak dobry duch przenika ciasne i brudne uliczki Londynu, kędy kryje się występek i nędza, fałsz i ludzka prawdziwa niedola. Czujna, z sercem przepojonym miłością bliźniego wprowadza pod dach Armii Zbawienia cienie londyńskiej ulicy — cienie świata. Żyje w atmosferze ideałów, którym uwierzyła i dlatego nic nie wie o tym, że Sobby Price — to nie nawrócony grzesznik, lecz symbol cynizmu, kłamca i złodziej grający komedię, której ceną nie jest przysłowiowa miska soczewicy, lecz oszustwo uprawiane dla sportu. Rummy Mitchens — dziewczyna ulicy — sekunduje dzielnie swemu partnerowi. I ją przeżarł cynizm sączący się z wąskich zaułków dzielnicy nędzy. Zła trucizna dawkowana umiejętnie przez życie, trucizna, która nie uśmierca, ale dezorganizuje wewnętrznie i niszczy w człowieku człowieka.

Pomiędzy awanturniczym Billem Walkerem i zmiażdżonym przez życie Piotrem Shirley, wykpioną postacią świetlanej Jenny Hill i w krzywym zwierciadle ukazanej pani Baines — komisarki Armii Zbawienia, rozgrywają się fragmenty akcji w schronisku dla nędzarzy. Ale oto na drogę Barbary pada cień: cień ojca, niepomiernie bogatego fabrykanta broni, człowieka nie uznającego żadnych praw moralnych. Na fałszywe liczmany wymieniony Bóg zastąpiony został siłą reprezentowaną przez pieniądz i proch: oto władza życia i władza śmierci.

Nierealność charakterystyki tak właściwa postaciom tworzonym przez Shaw świeci tu swój triumf. Andrzej Undershaft jest czymś w rodzaju nadczłowieka, jest narzędziem w ręku fatum, które każe człowiekowi wyrabiać narzędzie śmierci i zniszczenia. Czy narzędzia te, zawsze głodne umęczonych ludzkich ciał, broniących w imię wyśmianych ideałów swojej ojczyzny, nie stana do walki ze złem świata? „...tworze broń — mówi ojciec Barbary — ale nie moge stworzyć przekonań..." Koło zamknięte, bytująca w nim myśl nie może wyjść poza kręgi swoich przeznaczeń. Tragiczna groteska.

Znajdzie ona swój najgłębszy wyraz w momencie, gdy dwaj najwięksi zbrodniarze świata: Undershafte — fabrykant broni i Bogder — fabrykant wódki — przychodzą z pomocą materialną Armii Zbawienia. Za ich pieniądze ma teraz ta Armia egzystować — ich pieniądze mają być użyte na akcję charytatywną, a oni sami stać się mają wyrazicielami idei miłosierdzia, której bankructwo przeżyje Barbara. Nonsens? Skądże. Bardzo konsekwentny i bardzo logiczny układ rachunkowy: idea rządzi pieniądz. To tylko odwracanie wartości, której hołduje wielki miłoburca angielski.

Znakomite powiedzenia pełne poczucia humoru i drwin krzyżują się stale nad widownią jak ostrza kling, migotliwie, lekko i celnie. Cała masa problemów tkwiąca potencjonalnie w umysłowości każdego inteligenta zostaje poruszona do samej głębi.

Odwaga przekonań Shaw, ścisła logika rozumowania docierająca do jakichś ostatecznych konsekwencji, niebaczna na to, co straca po drodze, co burzy i niszczy, jest często wręcz oszałamiająca. Mimo tę masę zagadnień widz nie odczuwa ani przez chwilę znużenia, biorąc cały czas żywy udział w akcji znakomitej komedii.

Starą prawdę, że Bernard Shaw posiada niepospolitą znajomość sceny i jej efektów — powtarzamy raz jeszcze.

Teatr wystawił sztukę z właściwą sobie starannością. Reżyserował Horzyca. Nie wydaje mi się tylko, aby role były tym razem szczęśliwie dobrane. Kto wie czy Molska nie stworzyła-

by ciekawszego typu lady Britomar, a Detkowska-Jasińska napewno nie czułaby się źle w roli pani Baines (zastrzegamy się, że Molska i w tej roli była bez zarzutu), Maślińska zbyt realistycznie pojęła postać Majora Barbary. Zdzisław Szymański (fabrykant Undershawt) grał bardzo dobrze. Obserwowaliśmy ciekawy i cenny proces w jego grze: ważkość roli narastała na scenie z zadziwiającą siłą i jednocześnie ani przez chwilę nie zatraciła swej nierealności osobowej. Pomiędzy fabrykantem broni i widownią istniała wciąż leciutka mgła oddalenia, którą tak mistrzowsko rozciągnął Shaw wprowadzając na scenę postaci-symbole. Reszta zespołu dobra. Wasilewski chwilami nawet bardzo dobry. Sztuka ma ładną oprawę dekoracyjną Leonarda Torwirta. Ostatnia odsłona jest dobra symbolicznie (dobrobyt robotnika w krainie zniszczenia) ale technicznie jest dość słaba.

Maria Krzemieniowa.

Ruch Wydawniczy

W niniejszym krótkim przeglądzie nie chcemy poddawać drobiazgowej analizie poszczególnych wydawnictw toruńskich. Zamierzamy jedynie dać ogólny pogląd na pewne pozycje bibliograficzne, które ze względu na treść, poziom literacki i staranną szatę graficzną zasługują na uwagę inteligentnego czytelnika-bibliofila.

Po przerwie blisko 6-letniej pierwszą jaskółką, zwiastującą odrodzenie polskiego ruchu wydawniczego w Toruniu, była rzecz Janiny Przybyłowej: Książnica Miejska im. Kopernika w Toruniu wobec lawiny, — wydana jako rękopis w lipcu r. ub., z poparciem Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Toruniu. Bolesna lektura — rejestr ciężkich strat, poniesionych przez Książnicę w latach okupacji, strat prawdopodobnie nie do powetowania. — Portret Kopernika „z konwalijką", doborowa czcionka, czerpany papier, szeroki marginés, cechują wydawnictwo jako druk bibliofilski, — owoc żmudnej pracy miejscowego grafika, Zygfryda Gardzielewskiego, i jego brata, Leandra Jana.

Sumptem Ministra Informacji i Propagandy Stefana Matuszewskiego pojawiła się na dzień otwarcia naszego Uniwersytetu wspólna praca dra Stefana Burhardta i Józefa Mossakowskiego; Z prehistorii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Autorzy dali w zarysie dzieje myśli uniwersyteckiej na Pomorzu, która w naszych czasach wreszcie doczekała się realizacji. I tę rzecz opracował graficznie i ozdobił winietami Z. Gardzielewski.

Pierwszy powojenny przewodnik po Toruniu — w opracowaniu Leszka Klimy — wprowadza jako nowość w tego rodzaju wydawnictwach przystępnie ujęty zarys podłoża geograficznego. Szata zewnętrzna staranna: liczne ryciny w tekście, subtelne w rysunku winiety Z. Gardzielewskiego i dwa plany miasta oraz estetyczna okładka tworzą harmonijną całość. (Nakład Spółdzielni Księgarni Nauczycielskiej w Toruniu).

W okresie gwiazdkowym i wielkanocnym ukazało się — nakładem Pomorskiego Instytutu Wydawniczego w Toruniu — kilka książeczek obrazkowych dla dzieci, z ilustracjami barwnymi. Są to: Heleny Romer: Baj i Pani Mysz (ilustracje A. Torwirta) oraz Olgi Jaro: Jania i Piesek (il. A. Torwirta) i O Małgosi Gosposi i Zazulce Proszulce (il. B. Z. Nowickiego). Jak słyszymy, książeczki cieszą się powodzeniem u naszej dziatwy, która umie ocenić słowo podane w postaci miłej dla oka.

Z Jednodniówki, wydanej w dniu 5 stycznia r. b. na otwarcie Uniwersytetu, wyłonił się miesięcznik Alma Mater Thoruniensis. Wydawany wspólnym wysiłkiem profesorów i studentów, jako organ Bratniej Pomocy Studentów U.M.K., jest poniekąd przekrojem zainteresowań literacko-artystycznych słuchaczy Uniwersytetu. Poszczególne zeszyty zdobią drzeworyty młodych grafików, słuchaczy Wydziału Sztuk Pięknych, a mianowicie Bogumiła Marschalla, Barbary Narębskiej oraz Józefa i Zygmunta Kotlarczyków.

Kończyliśmy już ten przegląd, kiedy — w drugiej połowie czerwca — ukazało się wydawnictwo bibliofilskie, oddawna oczekiwane przez wtajemniczonych. Tytuł: Zygmunt Mocarski; — a więc praca zbiorowa poświęcona pamięci „autora, wydawcy, bibliofila, bibliografa, bibliotekarza, teoretyka drukarskiego, sekretarza Tow. Naukowego w Toruniu, bojownika sprawy Uniwersytetu, patrycjusza Torunia, entuzjasty Pomorza, Polaka-Człowieka", że zacytujemy słowa przedmowy, pióra dyr. St. Burhardta. Wspomnienia Janiny Przybyłowej „W służbie książki" i Stanisława Lisowskiego „Z lat studenckich" oraz Bibliografia prac Z. Mocarskiego, pracowicie zestawiona przez Emmę Skobejko, składają się na treść tej uroczej książki o jednym z zasłużonych ludzi Pomorza z okresu międzywojennego.

Ta praca zbiorowa, wydana z zasiłku Ministerstwa Oświaty przez Książnicę Miejską, ozdobiona pomysłowymi winietami Z. Gardzielewskiego, zawiera pamiątkę cenną dla przyjaciół śp. Mocarskiego: jego portret doskonale uchwycony i reprodukcję jego ekslibrisu, z drzeworytu A. Krawczenki. Oby dalsze zamierzenia — wydania nieopublikowanych dotąd prac Mocarskiego — doszły jak najrychlej do skutku!

Marian Sydow

Ciekawa wystawa w Toruńskim Domu Artystów

Cicho i bez rozgłosu odbyło się otwarcie jednej z ciekawszych wystaw w Toruniu. W lokalach Związku Polskich Artystów Plastyków w Toruniu i przy pomocy tego Związku toruńskie Muzeum Miejskie wystawiło część swych zbiorów malarstwa w pięknym pokazie pt. „Stary Portret". Jest to niejako pierwszy publiczny krok odradzającego się Muzeum toruńskiego, które mimo strat zadanych przez okupanta jego zbiorom pragnie przy pomocy całego społeczeństwa pomorskiego stać się tym, czym być powinno i na co sobie Toruń zasłużył, — centralnym Muzeum Ziemi Pomorskiej.

Wystawa objęła portret malowany na przestrzeni przeszło trzystu lat — od końca XVI wieku do końca XIX wieku. Na ponad 60 obrazów poza kilkoma nazwiskami (Bartłomiej Strobel (1591 — ok. 1647) malarz królewski i malarz toruński — portrety radcy Hubnera oraz Jakóba Koie, A. Strech — portret dowódcy straży gdańskiej — z ok. 1680 r. Dobbeler — ok. poł. XVIII wieku — portret burmistrza Jana Roesnera, Marceli Bacciarelli (1731 — 1818) — portret króla Stan. Augusta, Konstany Aleksandrowicz — portrecista z 2 poł. XVIII wieku — portret Teodora Działowskiego z 1782 r., Władysław Bakałowicz — portret damy z r. 1858, Tytus Maleszewski (1827 — 1895) — portret pułk. Fran. Gajewskiego z 1861 r., Wincenty Ślendziński (1867 — 1909) portret Antoniny Działowskiej z 1874 r.), reszta malarzy jest nieznana. Bliższe opracowanie tego ciekawego tematu, jakim jest niewątpliwie okres rozkwitu portretu artystycznego w okresie świetności Torunia oraz szczegółowe badania materiału archiwalnego toruńskich ksiąg miejskich, pozwoli na wyraźniejsze sformułowanie zasięgu twórczości tak poszczególnych artystów — jak też i całych grup artystycznych.

Organizatorom za urządzenie tej wystawy należy się szczere uznanie.

E. K.

Życie muzyczne

W ostatnich tygodniach sprawozdawczych, tj. od ostatnich dni maja do pierwszej połowy lipca włącznie, działo się u nas na polu publicznego życia muzycznego stosunkowo nie wiele, powiedzmy zaraz: stanowczo za mało! Lecz i ten niewielki ruch muzyczny doznał jeszcze zahamowania i uszczerbku na skutek niedociągnięć techniczno-organizacyjnych.

Mała ilość imprez muzycznych jest do pewnego stopnia wytłumaczona letnią porą roku, wzmożoną pracą przedwakacyjną w instytucjach, szkołach itd. Jest to jednak wytłumaczenie tylko częściowe. W praktyce bowiem okazuje się, że jeśli reklama dopisuje, jeżeli przyjeżdża solista czy zespół posiadający popularność i odpowiednią „markę", publiczność nasza nawet w sezonie „ogórkowym" tłumnie spieszy na taką imprezę artystyczną. Nie stanowią tu wówczas przeszkody ani brak czasu, ani wygórowane (nieraz aż nadto!) ceny biletów wstępu. Pewne imprezy „trzeba" zobaczyć, bo są modne i popularne, i to za wszelką cenę, choć za dzień lub dwa odbędzie się może wartościowsza, ale wcale nie popularna i nie „okrzyczana" impreza, którą oczywiście spotka, bo w naszych warunkach spotkać musi moralne i kasowe fiasco.

Przejdźmy do konkretnych faktów. W pierwszym tygodniu czerwca odbyły się aż cztery imprezy muzyczne wzgl. choreograficzne, bezpośrednio jedna po drugiej: w poniedziałek 3. 6. wieczór „4 Asów", z muzyką lekką, wypełniający salę Teatru Ziemi Pomorskiej po brzegi; we wtorek 4. 6. wieczór Pieśni Amerykańskiej, w wykonaniu Olgi Łady. Artystka zaśpiewała niezwykle ciekawe i piękne w treści słownej i muzycznej melodie murzynów amerykańskich. Choć nowoczesna europejska draperia harmonijna wiele przysłoniła z autentycznego ich piękna, to jednak świeżość ich i samorodność, prostota i umiar artystyczny wykonawczyni oraz niezwykły poziom etyczno-artystyczny tych pieśni tworzyły całość o wyjątkowo wysokim, jak na stosunki nasze, poziomie artystycznym. A jednak ta sama sala Teatru Ziemi Pomorskiej nie mogąca w przeddzień na wieczorze o poziomie nie mogącym w ogóle iść w paragon z poziomem artystycznym wieczoru Olgi Łady, świeciła tym razem pustkami! Za to już znowu następnego wieczoru, 5. 6. ta sama sala goszcząca trupę baletową Kopińskiego, którego wysokowartościowy występ zresztą pozostawił po sobie bardzo dobre wrażenie, była szczelnie wypełniona. Nic dziwnego, że kieszenie toruńczyków w jednym tygodniu nie wytrzymały aż trzech następujących tuż po sobie imprez, choć one mocno różniły się między sobą poziomami i siłą atrakcyjną i w zasadzie każda z nich gromadzić winna inne grono słuchaczy wzgl. widzów. Szkoda tylko, że straciła na tym impreza najważniejsza, recital O. Łady. Raz jeszcze okazała się pilna potrzeba zorganizowania u nas odpowiednio działającego biura koncertowego, które by sprawy te regulowało, nie dopuszczając do komasacji kilku imprez na przestrzeni pół tygodnia, a równorzędnie informowało naszych melomanów o wartości danej zapowiedzianej imprezy za pomocą prasy (nadal zupełnie biernej w organizowaniu toruńskiego życia muzycznego), radia (którego rola także powinna być w tej dziedzinie zupełnie inna!) odpowiednich plakatów itd. Niezależnie od tego ważną i pilną sprawą jest również stworzenie w mieście naszym stałego własnego ośrodka kulturalnego w postaci Domu Sztuki z własną salą koncertową. Posiadanie takiej sali zapewne umożliwi nam wyeliminowanie imprez muzycznych lekkiego charakteru z przybytku poważnej sztuki (co dotychczas niestety jeszcze nie ma miejsca!). Ale do tego także potrzebny będzie czynnik kierowniczy prowadzący planową gospodarkę, Biuro Koncertowe, o utworzenie którego od dłuższego czasu już wołamy.

TYMON NIESIOŁOWSKI



TORUŃ AKWARELA

Dalszym przykładem bezplanowości w naszym ruchu koncertowym to sprawa zapowiedzianych koncertów dwóch pianistów: Fr. Łukasiewicza i H. Sztompki. Koncert Sztompki wyznaczono na dzień 12. czerwca, koncert Łukasiewicza zaś, który wystąpić miał razem z wiolonczelistą poznańskim L. Świątkiewiczem, na dzień 11. czerwca. Recitale dwóch pianistów miały się zatem odbyć tuż po sobie, dzień po dniu, jak gdyby w ciągu długich długich miesięcy letnich nie było dosyć czasu na odpowiednie rozmieszczenie obu tych występów w terminach niezbyt sobie bliskich. Publiczność toruńska, znając sprzed wojny Sztompkę jako wybitnego artystę i swego czasu profesora Konserwatorium Muzycznego w Toruniu, zarezerwowała sobie pieniądze na jego występ kosztem recitalu artystów poznańskich. Występ Sztompki jednak w ostatniej chwili został odwołany (z powodu nieporozumień organizacyjnych!), recital Łukasiewicza i Świątkiewicza zaś musiano odwołać dla braku słuchaczy. W rezultacie oba wieczory nie odbyły się z powodu błędów techniczno-organizacyjnych. I publiczność i artyści czuli się słusznie zrażeni takim obrotem sprawy.

Poza wymienionymi imprezami wspomnieć trzeba o koncercie muzyki lekkiej, urządzonym dnia 26. 5. przez orkiestrę symfoniczną Zw. Zaw. Muzyków w Toruniu pod dyrekcją prof. Morzykowskiego przy współudziale młodego a obiecującego śpiewaka Wielikańca. Również przy samym końcu maja odbył się recital chopinowski czołowego pianisty polskiego prof. Zb. Drzewieckiego. Artysta nie miał wprawdzie swojego najlepszego „dnia", i co do interpretacji szeregu kompozycji Chopina można by nieco podyskutować, nie mniej jednak wieczór był bardzo ciekawy i artystycznie wysokowartościowy. Niestety frekwencja publiczności i tym razem była bardzo słaba, zapewne nie tylko z powodu końca miesiąca. Publiczność nasza nie doceniła pierwszego w mieście naszym występu tego znakomitego pianisty.

Z innych wydarzeń zanotować należy dwa występy baletowe znanego zespołu Parnella. Powodzenie kasowe było ogromne, więcej prawie, niż zasłużone. Zespół ten, znany nam dobrze sprzed wojny, pokazał nam i tym razem produkcje o niezrównanej wartości inwencyjnej i interpretacyjnej. Obok szeregu udanych numerów tańca ludowego były też w programie pozycje mniej szczęśliwe aż do mało wybrednych produkcyj tanecznych włącznie. Na ogół mniej podobały się również stylizacje tańców do poważnej muzyki artystycznej. Całość nie dała oczekiwanego wrażenia szczególnie po niedawnym bardzo udanym — w koncepcjach artystycznych i w realizacji — występie trupy baletowej Koplińskiego.

Toruńskie zespoły śpiewacze urządziwszy u siebie koncert publiczny wzięły też udział w I. powojennym Ogólnopolskim Zjeździe Kół Śpiewaczych Pom. Zw. Śpiew. w Bydgoszczy. Szczegółowe omówienie tego zjazdu nastąpi w innym miejscu tego pisma. Chcemy tu jednak podkreślić, że imponujące wyniki artystyczne i organizacyjne zjazdu przyniosły dużą chlubę zarówno bydgoskiemu Komitetowi Organizacyjnemu jak też szczególnie Zarządowi Głównemu Pom. Zw. Śpiewaczego, mającemu swą siedzibę w Toruniu a stojącemu pod prezesurą M. Kadłeca. Chórowi „Lutnia" — Toruń — zaś, pozostającemu pod artystycznym kierownictwem dyrygenta L. Rutkowskiego, przyniósł zjazd ten zaszczytne miejsce drugie (a właściwie pierwsze, jeśli chodzi o hierarchię zespołów mieszanych) w ogólnej punktacji konkursu śpiewaczego.

Z racji zakończenia roku szkolnego odbył się w sali Teatru Ziemi Pomorskiej pierwszy popis uczniów Instytutu Muzycznego w Toruniu poprzedzony egzaminami dorocznymi i popisami wewnętrznymi tej uczelni. Popis ten, który zgromadził liczne grono słuchaczy, dowiódł, że Instytut Muzyczny stojący pod wytrawnym kierownictwem dyr. I. Kurpisz-Sefanowej po rocznej zaledwie pracy poszczycić się może już dużym dorobkiem pedagogiczno-artystycznym. Popisywali się uczniowie klas fortepianu, śpiewu, skrzypiec i wiolonczeli. Choć prorokowanie w tym wypadku jest rzeczą dosyć ryzykowną, wydaje się, że niektórzy uczniowie (m. in. Parchomczukówna, Betańska i Gudel z klas fortepianowych) rokują poważne nadzieje. Dobrze zapowiadają się też najmłodsi uczniowie. Rok szkolny zakończono 380 uczniami. Słusznie jednak Instytutowi zależy nie na ilości, lecz na jakości uczni i w trosce o wysoki poziom naukowy Kierownictwo tej szkoły stosuje znaczną selekcję przy przyjmowaniu adeptów do uczelni jako też stawia wysokie wymagania od uczniów w ciągu pracy szkolnej. Specjalną troską otoczone są klasy instrumentów dętych i wiolonczeli. Dla zachęcenia zaś kształcącej się młodzieży do nauki przedmiotów teoretycznych, które na ogół w szkołach muzycznych cieszą się mniejszym zainteresowaniem uczniów, dyrekcja Inst. Muz. wyznaczyła nagrody pieniężne za dobre wyniki w zakresie tych przedmiotów i nagrody te rozdzieliła przy oficjalnym zakończeniu roku szkolnego.

Leon Witkowski.

GDAŃSK

Pochodnia wśród ruin

Gdańsk, jak to dzisiaj przyznają nawet mieszkańcy stolicy, jest najbardziej zniszczonym miastem w Polsce. Wśród ruin jego wędruje się godzinami, nie napotykając żadnego całego domu. Zadziwia przeto i wzbudza refleksję fakt, że do nielicznych budowli, zachowanych w śródmieściu, należy właśnie skarbnica ducha — Biblioteka Miejska. Jest w tym jakby znak Przeznaczenia. Oto w tej instytucji nawarstwiała się wiekami historia i tradycja kulturalna miasta, tak że dzisiaj stanowi ona najtreściwszy jego pomnik, a zarazem żywe ogniwo „między dawnymi a młodszymi laty". Starta została z powierzchni ziemi zewnętrzna postać starego, bogatego i pięknego Gdańska, przetrwała — biografia jego i testament, spisane w grubych tysiącach tomów.

Biblioteka gdańska jest jednak nie tylko zabytkiem kultury, lecz równocześnie niezmiernie cennym źródłem naukowym. Zawiera mianowicie wiele materiału, dotyczącego (poza Gdańskiem) historii Pomorza Nadwiślańskiego, Kaszub, Pomorza Zachodniego i Wschodnego oraz krajów bałtyckich. Poza tym są tutaj reprezentowane różne dyscypliny naukowe, jak filozofia, prawo, medycyna i przyroda. Pod względem zawartości i wielkości księgozbiór gdański nie ma sobie równego na całym Wybrzeżu od Braniewa po Świnioujście, jest przeto nad Bałtykiem niejako latarnią ducha, promieniującego daleko poza krąg zniszczonego miasta.

Dzień 22 czerwca otwiera nowy okres rozwoju tej instytucji, w tym dniu bowiem nastąpiło otwarcie jej i oddanie do użytku społeczeństwa. Względy, o których była mowa wyżej, sprawiły, że aktowi otwarcia nadano formę bardzo uroczystą, połączono go bowiem z ogólnopolskim zjazdem Związku Bibliotekarzy i Archiwistów oraz udziałem przedstawicieli nauki i urzędów. Centralnym punktem uroczystości była akademia w Starym Ratuszu. Wygłoszono tu szereg przemówień, w których wielokrotnie podkreślano doniosłą rolę Biblioteki w tym mieście, z natury swojej powołanym na czołowe miejsce w północnej Polsce. Minister E. Kwiatkowski zaznaczył, że uporządkowanie i otwarcie Biblioteki Miejskiej to wyraz olbrzymiego wysiłku, jaki naród wkłada w odbudowę Wybrzeża. Wicewojewoda Gadomski stwierdził, że „wszystkie problemy związane z morzem muszą być przepojone duchem, morze bowiem to nie sentyment, to także nauka, morze trzeba poznać, po to zaś potrzebne są takie właśnie placówki, jak biblioteki ,które skupiają w sobie doświadczenia pokoleń i stąd są źródłem ducha ludzkiego". Przedstawiciele środowisk naukowych Krakowa, Warszawy, Poznania i Torunia wskazywali na związki, jakie istniały w ciągu dziejów między kulturą polską i gdańską. Dyrektor Marian Pelczar, który wziął na siebie ciężar uporządkowania i zorganizowania biblioteki, przedstawił w zarysie jej historię od chwili narodzin aż do czasów ostatnich. Czytelnikom „Arkony" historia ta w najogólniejszym skrócie znana jest z artykułu, który ukazał się w numerze 3 („Biblioteka Miejska w Gdańsku i jej dzieje"). Warto jedynie zaznaczyć, że Biblioteka obchodzi w bieżącym roku 350-lecie swego istnienia.

Po akademii uczestnicy zwiedzili Bibliotekę i naocznie przekonali się o cennej zawartości zbiorów. Przygotowana wystawa rękopisów i starodruków objęła pozycje od wieku 12-go począwszy. Wśród rękopisów szczególną zwracały uwagę średniowieczne bogato ilustrowane księgi, dokumenty książąt pomorskich Sambora i Mestwina II, oraz rękopis Lutra. Wśród starodruków z dużą przyjemnością stwierdziło się obecność utworów polskich takich, jak „Zwierciadło" Reja, „Kronikę" Bielskiego, „Psałterz Dawidowy" i „Treny" Kochanowskiego. Dobrze obmyślana i zorganizowana wystawa potwierdza różnostronne związki kulturalne Gdańska z Polską o których wielokrotnie wspominano w przemówieniach na Akademii.

Andrzej Bukowski

OLSZTYN

Pierwszy pomnik na Ziemi Odzyskanej

W dniu 9 czerwca rb. odsłonięto w Olsztynie pierwszy pomnik wzniesiony ręką polską na ziemiach odzyskanych. Był to pomnik Stefana Jaracza.

Wybór osoby uczczonej pomnikiem wywołał pewne uwagi krytyczne. Dały się one słyszeć nawet w gronie licznie zgromadzonych uczestników uroczystości. Czy słuszne było, aby pierwszy pomnik na tych ziemiach uzyskał właśnie artysta, zewnętrznie z tymi ziemiami niezwiązany, równocześnie zaś przedstawiciel tego działu szuki, który najmniej miał dotąd preensji do tej sui generis „nieśmiertelności", której wyrazem są pomniki na ulicach i placach publicznych?

Wątpliwości te są zrozumiałe, nie są jednak słuszne. W odsłonięciu pomnika Stefana Jaracza jest coś więcej, niżeli tylko wypadkowość inicjatywy i energii organizatorów, jest duża wymowa trafnie wybranego symbolu.

Już sam fakt, że pierwszy polski pomnik na tych ziemiahc uzyskał nie mąż stanu, wódz lub polityk, lecz artysta, twórca i pracownik kultury, ma swoista wymowę, jest przeciwsawieniem charakeru ducha polskiego duchowi przez wieki u panującego prusactwa. Lecz równocześnie ten artysta, to więzień Oświęcimia. Jemu wzniesiony pomnik staje się symbolem triumfu siły męczeńswa, ofiary i wyrwania nad brutalizmem germańskiej przemocy. Równocześnie zaś jest to „socjalista" w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa, oddającym nie tyle atmosferę walki politycznej, ile istotę głębokiego odczucia i bezpośredniej reakcji na każdą krzywdę, każdą niesprawiedliwość społeczną czy ogólno-ludzką.

Nade wszystko zaś — to geniusz serca. Artysta, którego cała twórczość była jednym wielkim aktem współczucia. Niewielu było ludzi, którzy z równą słusznością mogliby powtórzyć sobie za Kasprowiczem, iż wszystko, co w ich sercu było „z najcieńszej utkane przędzy" „ludzkiemu dali nieszczęściu", „ludzkiej oddali nędzy".

I otóż na gruzach zdruzgotanej potęgi niemieckiej, po brutalizmie i potwornościach hitlerowskich "czasów pogardy", w krainie przezwyciężonego pruskiego „Smęka", ten właśnie pomnik — więźnia Oświęcimia, artysty i humanisty — geniusza serca i współczuca — wyrasta do rzędu symboli o szczególnej wprost wymowie.

Pomnik ten, to najpełniejszy wyraz przeciwstawienia ducha powracającej na ziemię „pruską", „z cudownego losów zrządzenia" Polski — duchowi niemieckiego „prusactwa". I w tym jest jego istotne znaczenie, znaczenie aktu, dokonanego w dniu 9 czerwca w czasie obchodzonych wówczas olsztyńskich „godów wiosennych".

B. S.

NOWE KSIĄŻKI

Pomorze w walce z niemczyzną. Bydgoszcz 1946. Wydawn. P. Z. Z., str. 116.

Dotychczas mało jeszcze mamy publikacyj naświetlających bardziej szczegółowo rolę Pomorza w zmaganiach z naporem niemieckim na nasze ziemie. A przecież wiadomo, że główne wektory sił germanizacyjnych w tę właśnie były skierowane stronę.

Dobrze więc się stało, że Okręg Pomorski Polskiego Związku Zachodniego wydał dla upamiętnienia 25-ej rocznicy swego istnienia broszurę poświęconą dziejom walk o polskość Pomorza, a nie mogąc się jeszcze zdobyć na obszerniejszą monografię na temat zmagań z niemieckimi siłami ideologicznymi, gospodarczymi i militarnymi, usiłującymi podbić tę zemię, wybrał narazie kwestie najbardziej żywotne — zwłaszcza dla okręgu bydgoskiego. Możnaby się wprawdzie sprzeczać o hierarchię tych zagdnień, lecz trudno czynić z tego powodu zarzuty autorom, którzy musieli zadośćuczynić wielu względom lokalnym, przede wszystkim zaś poświęcić więcej miejsca Związkowi Zachodniemu, oraz aktualnemu obecnie 600-leciu stolicy tej ziemi — Bydgoszczy.

Prace A. Dzienisiuka i H. Malinowskiego stanowią zasadniczy zrąb treściowy broszury. Dziesiuk omawia kwestie polityki Piastów na Pomorzu i wynikające z ich dziejowego testamentu wskazania dla naszego pokolenia. Malinowski zaś rzeczowo przedstawia pomorskie sprawy ludnościowe i gospodarcze i wysnuwa słuszny wniosek o ostatecznym skierowaniu się polskich tendencji rozwojowych w właściwe łożysko, dzięki czemu województwo bydgoskie zajęło jedno z centralnych stanowisk w odrodzonym państwie.

Charakterystycznym przykładem zmagań polsko-niemieckich na tutejszym terenie jest historia Bydgoszczy obszerniej podana przez J. Kołodziejczyka, całości zaś dopełniają artykuły J. Pietrowicza E. Ogłozy i J. Boguskiego, który jednak nie potrafił opracować syntetycznie ciekawego materiału, ilustrującego bogatą działalność Związku Zachodniego.

Książka powyższa, mimo pewnej chaotyczności układu, może stać się punktem wyjściowym dla bardziej ożywionego ruchu wydawniczego, warto bowiem zwrócić uwagę na ważny fakt, że w żadnym wypadku nie można doniosłej obecnie kwestii Ziem Odzyskanych traktować w zupełnym oderwaniu od ich naturalnego zaplecza. Wielkie Pomorze — podobnie jak Śląsk — stanowiło zawsze organiczną całość, to też poświęcając baczniejszą uwagę Pomorzu Zachodniemu, musimy zająć się bliżej także historiografią ziem nad Wisłą, Brdą i Notecią, gdyż tutaj najściślej łączą się dorzecza najważniejszych naszych systemów wodnych, których wiekowa wspólnota i znaczenie dla Polski nie podlegają dyskusji.

Al. K.

Książki i pisma nadesłane

TWÓRCZOŚĆ, Miesięcznik literacko-krytyczny, II, 5.

ODRODZENIE, Tygodnik III, 23 — 29.

ZNAK, Miesięcznik I, 1.

PRZEGLĄD ZACHODNI, Miesięcznik, II, 3—4.

KAMENA, Miesięcznik, VII, 6—7.

TEATR, Miesięcznik, I, 1—2.

ŻYCIE LITERACKIE, Dwutygodnik, II, 11—12.

WIEŚ, Tygodnik Społeczno-literacki, III, 22—26.

WIATR OD MORZA, Czasopismo poświęcone polskiej kulturze marynistycznej, I, 5.

CYCHRY, Miesięcznik poświęcony zagadnieniom upowszechnienia kultury, I, 5.

ŚWIATŁO, Dwutygodnik Społeczno-oświatowy I, 1—12.

ZIEMIA, Ilustrowany Miesięcznik Krajoznawczy, XXX, 1—4.

LISTY Z TEATRU, Miesięcznik, I, 1.

PRACA OŚWIATOWA, Miesięcznik Lud. Instyt. Ośw. i Kultury, II, 5.

PORADNIK OŚWIATOWY, Miesięcznik, IV, 13.

GŁOS NAUCZYCIELSKI, Centr. Organ ZNP., XXV, 11—12.

ŻYCIE SZKOŁY, Miesięcznik poświęcony organ. wychowania i nauczania, I, 5—6.

ALMA MATER THORUNIENSIS, Miesięcznik, I, 5—6.

MŁODA RZECZPOSPOLITA, Tygodnik, I, 1—7.

CHŁOPSKA DROGA, Tygodnik Polskiej Partii Robotniczej, II, 14—28.

DOM OSIEDLE MIESZKANIE, Organ Pol. Tow. Reformy Mieszk., XII, 2—3.

ECHA BORÓW NADBAŁTYCKICH, Miesięcznik, Organ. Zw. Zaw. Prac. Leśnych, I, 6.

WALKA MŁODYCH, Tygodnik, IV, 25—27.

BIULETYNY INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO, Wydział Pomorzoznawczy, 2—10, (16—24), Wydział Morski, 9—11, (22—24).

STEFAN KAWYN: Zagadnienie grupy literackiej. Wydawn. Tow. Nauk. Katol. Uniw. Lubelskiego. Lublin 1946.

STANISŁAW SKORUPKA: Zwroty i wyrażenia przenośne w języku potocznym. Wyd. Tow. Nauk. Kat. Uniw. Lublin, Lublin 1946.

HENRYK DEMBIŃSKI: Dyplomacja i dyplomaci w nowoczesnym państwie. Wyd. Tow. Nauk. Kat. Uniw. Lublin, Lublin 1946.

JAN STANISŁAW ŁOŚ: Sprawa agrarna w Rzymie II-go i I-go wieku przed Chrystusem. Wyd. Kat. Uniw. Lub., Tow. Nauk., Lublin 1946.

Odzyskane ziemie — odzyskani ludzie. Praca zbiorowa. Wydawnictwo Zachodnie. Poznań 1946.

TADEUSZ KUDLIŃSKI: Mantelupa. Wspomnienie. Nakład własny. Skład Główny: Księgarnia „Czytelnika". Kraków 1946.

TADEUSZ CZEŻOWSKI. Główne zasady nauk filozoficznych. Nakładem Księgarni Naukowej T. Szczęsny i S-ka, Toruń 1946. Wydawn. Uniw. im. Mikołaja Kopernika.

LEON KRUCZKOWSKI: Człowiek i Powszedniość. Biblioteczka Oświaty Robotniczej.

TADEUSZ KRASZEWSKI: Były i będą nasze. Pogadanki o Ziemiach Odzyskanych. Wydawnictwo Zachodnie. Poznań 1946.

Łużycom Wolność. Praca zbiorowa. Wydawnictwo Zachodnie. Poznań 1946.

B. DANIELEWSKI, J. KOLIPIŃSKI, AL. ROGALSKI: Niemcy rozgromione? Wydawnictwo Zachodnie. Poznań 1946.

Wszystkie książki nadsyłane do redakcji przez P. T. Wydawnictwa przed ukazaniem się recenzji odnotowywane będą bieżąco w powyższej rubryce.

Treść (6-7) numeru „Arkony" poświęconego jubileuszowi Bydgoszczy

ZYGMUNT FELCZAK: Sztuka w służbie Narodu, MARIAN TURWID: Narodziny Środowiska, JERZY REMER: Cegły nad Brdą, GWIDO CHMARZYŃSKI: Fara Bydgoska, ALEKSANDER DZIENISIUK: W cieniach i blaskach historii, ALFRED KOWALKOWSKI: Wiersze, WŁADYSŁAW LAM: Z pracowni Leona Wyczółkowskiego, KONRAD GÓRSKI: O istocie poezji, WOJCIECH BĄK: Z „Przelotu muzyki", TADEUSZ GRABOWSKI: O przyszłość Łużyczan, ZYGMUNT FELCZAK: Za zachodnią granicą, WŁADVSŁAW DZIEWULSKI: Germanizacja Pomorza Zachodniego, ALEKSY TOŁSTOJ: Rugewit. Borzywój (przekład Tad. Chróścielewskiego), JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: „Stara Cegielnia" na scenie, JAN PIECHOCKI: Zamiast historii teatru bydgoskiego, EUGENIUSZ MORSKI: Wiersze, JAN OKO: Wielki Gdańszczanin, STEFAN NARĘBSKI: Malarstwo Bronisława Jamontta, TEODOR BRANDOWSKI: Wśród czcigodnych pamiatek, JÓZEF MODRZEJEWSKI: Zagadka Arkony, ANDRZEJ BUKOWSKI: Motyw morza w poezji kaszubskiej.

Kroniki, Przeglądy, Sprawozdania.

Reprodukcje: LEONA WYCZÓŁKOWSKIEGO (wszystkie ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Bydgoszczy), WŁADVSŁAWA FRYDRYCHA, BRONISŁAWA JAMONTTA, TADEUSZA MOKRZYCKIEGO, JADWIGI SZYSZKO, MARIANA TURWIDA, STANISŁAWA WOJEWÓDZKIEGO i TEODORA ZIOMKA.

W ostatnim (8) numerze „Arkony"

ANDRZEJ BUKOWSKI — O duchowy podbój Pomorza; ZYGMUNT SZWEYKOWSKI — Chłop w „Placówce" Prusa; JERZY REMER — Pierwsza wystawa plastyki pomorskiej; MIECZYSŁAW ZYDLER — Józef Hartwig, opowiadanie; JAN PIECHOCKI — Książka z ducha Ziem Zachodnich; BERNARD SYCHTA — Przebudzenie, Fragment dramatu kaszubskiego; LEON WITKOWSKI — Karta z dziejów śpiewactwa pomorskiego; ALFRED KOWALKOWSKI — Zapowiedź poetycka; STANISŁAW LISEWSKI — W niemieckiej szkole; ALEKSANDER ROGALSKI — Niezamierzona pochwała.

Utwory poetyckie: FRANCISZKA BECIŃSKIEGO, FRANCISZKA GROTTA, JÓZEFA MAŚLIŃSKIEGO, TEODORA MIKOŁAJCZAKA i JERZEGO OSTROWSKIEGO.

Reprodukcje: STANISŁAWA BRZĘCZKOWSKIEGO, HENRYKA CZAMANA, JÓZEFA KOZŁOWSKIEGO, TYMONA NIESIOŁOWSKIEGO, MARIANA TURWIDA i JANA WODYŃSKIEGO.

KRONIKI — PRZEGLĄDY — SPRAWOZDANIA.

Od Administracji

Zawiadamiamy naszych czytelników, że ARKONĘ można zaprenumerować bezpośrednio w administracji pisma. W tym celu wystarczy wpłacić na konto PKO Bydgoszcz Nr VI. 271 odpowiednią kwotę, podając dokładny adres.

Warunki prenumeraty są następujące:

Prenumerata kwartalna	— 30 zł.
Prenumerata półroczna	— 60 zł.

Numer pojedyńczy pisma w sprzedaży kosztuje 10 zł.

Administracja posiada jeszcze w zapasie pewną ograniczoną ilość numerów zaległych 1 — 8, które na żądanie — pojedyńczo, lub w komplecie — po wpłaceniu należności na konto pisma może przesłać.

Wydawca: Zespół „Arkony" w Bydgoszczy — Kolegium redakcyjne: Stanisław Brzęczkowski, Andrzej Bukowski, Aleksander Dzienisiuk, Alfred Kowalkowski, Jan Piechocki, Marian Turwid. Adres Redakcji i Administracji: Bydgoszcz, Sielanka 8
Konto bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy nr 224.
Prenumerata i kolportaż: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ulica Jagiellońska 31.
Cena numeru 10.— zł. Drukarnia Polska pod Zarządem Państwowym Nr 1, Bydgoszcz. E-14063